ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 22/101 — Londyn, dnia 29 maja 1949 — CENA 9 d.

Subskrybcja na » Książkę o Kołymie «

Czytelnicy ŻYCIA i GAZETY NIEDZIELNEJ odpowiedzieli serdecznym echem na apel VERITAS w sprawie społecznego wydania książki-dokumentu A. Krakowieckiego. Do dnia łamania numeru (t.j. 20 maja b.r., a więc w ciągu 6 dni od ogłoszenia subskrybcji wpłynęło już 78 zamówień na "Książkę o Kołymie". **Dalsze szczegóły — patrz na stronie 7.**

I. M. BOCHEŃSKI O. P.

LENIN, CZYLI O ZNACZENIU TOMIZMU

CIEKAWYM, ilu to inteligentów nie-bolszewików czytało kiedykolwiek Lenina, zainteresowało się bliżej jego życiem i jego myślą. Wydaje mi się, że niewielu. Nie trudno nawet zrozumieć dlaczego: Lenin znany jest przede wszystkim jako okrutny dyktator i kat, jako ten, który wyrzucał Trockiemu, że za mało rozstrzeliwuje, jako organizator tej największej w dziejach kaźni, jaką jest Rosja współczesna. A dla nas Polaków w szczególności, Lenin jest twórcą czerezwyczajki, z jego ducha wyrósł Katyń. Nie można się dziwić, że wolimy czytać Sartre'a czy Huxley'a, i że nie przychodzi nam na myśl, zainteresować się Leninem.

A jednak śmiem twierdzić, żadna lektura nie byłaby potrzebniejsza a nawet zbawienniejsza od lektury Lenina. Wydaje mi się, że zdrowy rozsądek powinien wskazywać, iż tego właśnie polityka i myśliciela, powinniśmy poznać przed innymi. Można, oczywiście, go nie lubieć i należy potępiać jego poglądy*), tym bardziej jego czyny; ale niepodobna nie uznać, że Lenin był człowiekiem olbrzymiej miary, jednym z tych, którzy najciężej zaważyli na dziejach ludzkości — bodaj od ich początku.

Nie pomoże tłumaczenie, że był on tylko przedstawicielem, wykładnikiem wielkiego ruchu, który go — przypadkiem bodaj — wyrzucił na szczyt władzy. Nie pomoże, bo takie tłumaczenie jest najzupełniej sprzeczne z faktami. Lenin nie był bowiem, po pierwsze, przedstawicielem czegokolwiek, ale od samego początku swojej działalności, wodzem; to nie ruch niósł jego, ale on żelazną wolą tworzył i prowadził ruch. Następnie, nieprawdą jest, by bolszewizm był wielkim ruchem. Wszystkie partie rewolucyjne razem wzięte stanowiły jeszcze w 1914 bardzo niewiele w porównaniu z masą inteligencji, nie mówiąc o ludzie rosyjskim; a już bolszewicy stanowili nawet w obrębie partii rewolucyjnych mniejszość. Wreszcie, nie przypadek, ale geniusz polityczny i wojskowy Lenina dał tej grupce władzę; ten sam geniusz potrafił utrzymać władzę w rękach i stworzyć sowieckie państwo. Tak mówi historia, dobrze dziś już znana. Coprawda, wszyscy naokoło jakby się zmówili, aby Leninowi w jego burzycielskiej pracy pomagać — przez tchórzliwość, przez brak ideologii, przez ciągłe kompromisy. Ale na tym tle właśnie do rozmiarów olbrzyma wyrasta postać tego niezłomnego człowieka. Naprawdę, czasby już był przerwać na chwilę inne lektury i zabrać się do czytania Lenina.

Chciałbym, jako wstęp do tej lektury przypomnieć w jakich to warunkach Leninowi przyszło pracować. Mówiąc o nim mamy przed oczyma zazwyczaj jego rolę dyktatora, skupiającego w swoim ręku całą władzę w Rosji. Zapominamy, że to są ostatnie lata jego życia, koniec kariery, że poprzednie jego życie jest zgoła inne. Lenin, w tych latach przygotowania i walki jest człowiekiem biednym i prześladowanym. Jest emigrantem, który z wielkim trudem uzyskuje pozwolenie policji na pobyt w obranym przez się kraju i nieraz pędzony jest z jednego do drugiego. Jest konspiratorem, którego szuka długa ręka carskiej policji. Na dobitek, choć posiada grupę swoich wiernych znajduje się w otoczeniu towarzyszy nie chcących uznać jego stanowiska, idących ustawicznie na najrozmaitsze kompromisy. Przez długie lata Lenin jest ciągle w mniejszości. Nawet na owym kongresie z 1903, na którym jego frakcja przybrała nazwę „bolszewickiej" od osiągniętej większości, większość tę potrafił Lenin uzyskać dopiero w drugiej połowie obrad; na początku niemal wszyscy byli przeciw niemu. Lenin historyczny jest niezłomnym człowiekiem zasad, zawsze gotowym walczyć o zasady choćby z całym światem — i w rzeczy samej walczącym bezpardonowo o nie przez długie lata.

Lenin jest więc nie tylko człowiekiem czynu, w rodzaju Cezara n. p., który był geniuszem akcji, ale u którego poza wolą władzy nie stało nic innego. Lenin jest geniuszem akcji w imię zasad, albo, aby jego własnych słów użyć, w imię filozofii. Filozofem sam coprawda nie był. W 1899 pisze do Potresowa że jest ignorantem we filozofii; ale z tego samego listu dowiadujemy się, że chce się jej nauczyć że kupuje gorączkowo książki filozofów. Dwa lata bezmała poświęci następnie wyłącznie studium filozoficznemu; pojedzie nawet specjalnie w tym celu do Anglii, do British Museum. Niewiele z tych studiów, trzeba przyznać, wynikło; filozofem Lenin nie został nigdy ,choć filozofię polubił, choć miał jakiś zdrowy instynkt każący mu podziwiać największych właśnie myślicieli, Arystotelesa między inymi, choć na starość, obarczony olbrzymią pracą, studiował jeszcze Hegla, a Iljina kazał podobno na wolność wypuścić przeczytawszy jego rzecz o Heglu. Filozofii się nie nauczył w tym znaczeniu, by stał się twórczym myślicielem. Nie mniej, stały się wtedy dwie rzeczy.

Najpierw, Lenin przyswoił sobie gruntownie marksizm; następnie umocnił w sobie przekonanie, że żadna rewolucja, żaden ruch bolszewicki, żaden sukces nie jest możliwy bez oparcia go o głęboką i wszechstronną filozofię.

Spośród książek Lenina trzeba przede wszystkim przeczytać jego **opus magnum philosophicum**: „Materializm i Empiriokrytycyzm", aby móc ocenić moc tego przeświadczenia. Jest to książka bojowa, napisana z jasno nakreślonym celem: zniszczyć ludzi kompromisu — pół-marksistów, słabe charaktery i płytkie **mózgi** spośród towarzyszy. „Bezpartyjni w filozofii, mówi w tej książce, są równie bezgranicznie głupi, jak bezpartyjni w polityce". Książka jest jednym ciągiem napaści, wymyślań, pogróżek skierowanych przeciw tym, co próbują rzucać mosty między poglądami filozoficznymi, co starają się eklektycznie lawirować między idealizmem a realizmem, między religią a ateimem Marxa. Jest grubym, płytkim w treści a barbarzyńskim we formie, ale potężnym, żywiołowym wezwaniem do wierności filozofii, panegirykiem na jej cześć, dowodzeniem, że to ona jest bazą, podstawą i główną bronią partii, bez której partia nie jest nic warta i niczego dokonać nie może.

Stalin (który, choć jest politykiem biegłym, w porównaniu do Lenina uznany być musi za małego człowieka) w jednym przynajmniej napewno został Leninowi wierny: w uznaniu znaczenia filozofii. Świadczą o tym nie tylko jego słowa. W Rosji sowieckiej i wszędzie gdzie partia ma coś do powiedzenia, filozofia stoi na jednym z naczelnych miejsc. Oto parę danych, które każdego wątpiącego powinny o tym przekonać. Skrót filozofii Stalina — trzeba powiedzieć że doskonale napisany — sprzedano dotąd w ponad 31 milionach egzemplarzy. Dzieł Marxa, Engelsa, Lenina i Stalina — głównych teoretyków tej filozofii, odbito i rozdano, według akademika Mitina, 400 milionów egzemplarzy. Nawet Arystotelesa sprzedano w ciągu dwudziestupięciu lat w Rosji niemal osiemdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Żdanow, sekretarz centralnego komitetu, rugał w 1947 z polecenia samego Stalina niejakiego Aleksandrowa za „błędy" w podręczniku historii filozofii; bo, powiadał, napisanie takiego podręcznika to „czyn olbrzymiego znaczenia politycznego". Muzyków, literatów, biologów, ekonomistów kazał Stalin wyklinać, zsyłać, mordować czasem, w imię filozofii. Nauka tej filozofii jest znowu obowiązującym przedmiotem na wszystkich uniwersytetach sowieckich; wprowadzają ją obecnie i w Polsce. Zagranicą, gdziekolwiek bolszewicy założą dom wydawniczy, wydają głównie książki filozoficzne; kto nie wierzy, niech przeczyta n. p. sprawozdanie tow. Kanapy w „Europe" z 1947 o „akcji" francuskiej.

Na Zachodzie nie chą w to wierzyć. Europejczycy i Amerykanie, sami

---

*) Zresztą potępienie w czambuł to rzecz nie chrześcijańska, nietomistyczna i poprostu nieinteligentna. Osobiście, choć Lenina za filozofa nie uważam, mam dla niego podziw nie tylko jako dla człowieka czynu. Podziwiam także trafność wielu jego filozoficznych intuicji. Podpisuję oburącz twierdzenie o. G. Wettera T.J., że „gdy bolszewizm minie, Rosja będzie miała, dzięki Leninowi zadatek zdrowej filozofii". Dwie rzeczy stanęły na przeszkodzie, by ten tak zdrowo i tak odważnie myślący człowiek stał się z ducha tomistą. Z jednej strony ignorancja, fakt, że nie znał naszego dorobku i czerpał — tak samo zresztą jak Marx — z zatrutego źródła płytkiej myśli XIX stulecia; z drugiej — i to jest bodaj rzecz rozstrzygająca, którą podnoszą także marksiści europejscy, ateiści — jego niezrozumiała dla mnie, żywiołowa nienawiść do Boga. Ta nienawiść bije z każdej niemal strony jego dzieł, zaćmiewa zdrowy sąd, paczy najtrafniejsze myśli. Ale jeśli pominiemy ten czynnik, znakomita większość leninowskich intuicji okazuje się doskonała: jego realizm jego kategorialny pluralizm, jego zmysł historyczny, nacisk położony na wolę człowieka.

Niestety stwierdzić trzeba parafrazując jego własne słowa, że stalinowszczyzna „ubiła w Leninie żiwoje i uwiekowieczila miertwoje".

W. P.

MARIAN ZDZIECHOWSKI

WŚRÓD primaaprilisowych wiadomości „Tygodnik Powszechny" zamieścił i tę, że nakładem państwowego wydawnictwa w Polsce ma się niebawem ukazać zbiorowe wydanie dzieł Mariana Zdziechowskiego...

Pomimo całej żartobliwości i komizmu tej wiadomości, kryje ona w sobie coś bolesnego, a sarkazmem swoim, jak błyskawica, oświetla na moment tragizm kultury w Polsce i tragizm sytuacji Polski.

Antytezą dzisiejszej Polski i jej atmosfery moralno-duchowej był Marian Zdziechowski. W całej jego twórczości naukowej i pisarskiej grały echa dorobku kultury duchowej świata i najgłębsze przeżycia i osiągnięcia chrześcijaństwa. W sposób najrzetelniejszy sam przeżył ten dorobek, a wyobraźnia żywa i wybiegająca w przyszłość niosła wizję końca świata współczesnego.

Nadchodzący barbarzyńca („griaduszczyj cham") zniszczy to, co stworzyła chrześcijańska kultura wieków, a „żółte niebezpieczeństwo" stanie się rzeczywistością, która spowoduje kataklizm dziejowy.

Zdziechowski od początków swej twórczości pisarskiej stał się badaczem prądów duchowych kultury współczesnej. W pierwszej swojej książce wydanej przed z górą 60-ciu laty „Mesjaniści i Słowianofile" dał syntezę misji tych kierunków, marzeń i dążeń wielkich umysłów, naświetlając krytycznie przerosty duszy rosyjskiej, jej nieuzasadnione dążenia reformatorskie.

Niebawem wydaje monumentalne, klasyczne nieomal dzieło w dwuch tomach „Byron i jego wiek". Zdziechowski, sam marzyciel i pesymista, był powołany jak nikt inny, by oświetlić twórczość wielkiego poety angielskiego i tych, co w atmosferze „byronizmu" tworzyli — idealistów, szukających lepszej, wznioślejszej przyszłości, uciekających w świat marzeń od ponurej rzeczywistości. Przesiąknięte atmosferą wzniosłości, tak bardzo odpowiadającej konstytucji duchowej Zdziechowskiego, dzieło to, gdyby zostało przełożone na obce języki, byłoby obiegło z powodzeniem świat intelektualny Zachodu. (Uwaga ta dotyczy wszystkich podstawowych prac pisarskich Zdziechowskiego).

Piszę ten szkic bez żadnych pomocy naukowych, nawet bez wykazu bibiografii pism Zdziechowskiego, i jest ten szkic jedynie reakcją na żart „Tygodnika Powszechnego" o moim mistrzu i profesorze, więc może pomylę kolejność jego prac, a tu i ówdzie tytuły rozpraw, ale wydaje mi się, że niebawem po „Byronie" ukazuje się nieduża rozmiarami, ale bardzo ważka dla charakterystyki duchowości autora praca p.t. „Pestis Perniciosissima". Traktuje ona o francuskim modernizmie katolickim w związku z potępieniem tej doktryny przez papieża Piusa X. Zdziechowski był katolickim pisarzem, z wszystkimi tego słowa konsekwencjami, jego wspaniałe pisarstwo nie było oddzielone od życia. Był naturą organicznie religijną, codzień przyjmował Komunię św. Przez całe swoje życie i we wszystkich dziełach nie umiał jednak ukryć swoich sympatji do modernizmu katolickiego. Teza podstawowa modernistów — bezpośredni stosunek do Boga, szukanie Go w „sercu własnym", intymne niejako ustosunkowanie się do spraw duchowo-religijnych, pociągała Zdziechowskiego i odpowiadała jego strukturze duchowo-moralnej. A z drugiej strony pociągał go uporczywy tradycjonalizm prawosławia, jeśli chodzi o wspólne nam wszystkim kiedyś prawdy katolickie, jego przejęcie się tajemnicą Wcielenia, jego proste widzenie Boga, prosta ale głęboka ascetyka.

On też a nie kto inny napisał najgłębsze studium o kardynale Newmanie, a pamiętajmy, że postać Newmana była przedmiotem badań pierwszorzędnych umysłów krytycznych w Polsce, w tym i St. Brzozowskiego, któremu Zdziechowski poświęcił studium p.t. „Gloryfikacja pracy". Pisał je jako wyraz miłości ojcowskiej i żalu po tragicznej stracie syna, rozmiłowanego w pismach Brzozowskiego. Fakt głęboko religijnej postawy duchowej Zdziechowskiego upoważnił mnie do rozpoczęcia odczytu o nim w 50cio lecie jego twórczości pisarskiej od słów „Modlitwy Wieczornej" Mickiewicza: „Z Tobą ja gadam, co królujesz w Niebie, A razem gościsz w domu ducha mego".

Przyszłe życie i to co prowadzi do przetworzenia człowieka i świata w istotę godniejszą i w świat lepszy stanowi temat prawie wszystkich dzieł Zdziechowskiego. Przed pierwszą wojną światową ukazują się dalsze jego dzieła, jak „U Opoki Mesjanizmu" i „Wizja Krasińskiego". Z rosyjskich marzycieli reformatorów specjalnie zainteresował Zdziechowskiego Czaadajew, później Wł. Sołowiew. W „Wizji Krasińskiego" wyłożył eschatologię wieszczów, teorię posłannictwa narodowego, możliwoś-

przeżarci pozytywizmem, filozofią gardzący, przekonani w dodatku, że dla materialistów myśl nic nie znaczy — jakaż kompletna nieznajomość Lenina! — wierzą święcie, że bolszewizm to grupa oportunistów stosujących wszystko do potrzeb chwili, że myśl, ideologia, filozofia nie odgrywa u nich żadnej godnej wzmianki roli. Sprowadzają innymi słwami geniusz Lenina do swojej małej prowincjonalnej, ciasnej i tępej miary. Wydaje im się nieraz, że zręczną polityką, nowym odkryciem naukowym, trochę pięścią a trochę dyplomacją — to jest, po polsku, chytrością — potrafią się przeciwstawić lawinie, która sunie na nich ze wschodu. Nie rozumieją że jeśli ta lawina jest z żelaza, jeśli jej czoło stanowią setki dywizji i setki tysięcy uzbrojonych milicjantów wewnątrz krajów zachodnich — to poza tym czołem kryje się coś innego jeszcze co maszynie wojennej bolszewickiej daje kierunek i duchową siłę — wiara bolszewików w ich, po Leninie odziedziczoną filozofię. Nie rozumieją, że partia jest już obecnie, dzięki tej wierze, w takim położeniu, iż może dywizji sowieckich nie będzie potrzeba wcale używać — tyle myślących ludzi jej filozofia potrafiła uwieść na Zachodzie.

Nie rozumieją owi „Zachodni" ludzie także czegoś innego: że kto tylko się broni, ten przegrać musi; że cywilizacja, która nie jest w ruchu, która nie przetwarza się, nie umie wykuć nowych form, jest zgubiona. Ajeśli rozpowiadają o rewolucjach i zmianach, to nieodmniennie sądzą, że te zmiany można przeprowadzić **au petit bonnheur,** w imię jakichś praktycznych czy sentymentalnych regułek, bez potrzeby zwartego poglądu na świat, który by tym zmianom nadawał jednolity, głęboki sens i celowość. Nie rozumieją, że w obliczu Lenina i potęgi jego wiary w zasady filozofii, te marne poczynania nie mogą dać żadnych na uwagę zasługujących wyników. Że młodzież, w szczególności, pójść musi prędzej czy później na zew tych, którzy głoszą zasady okrutne, nieludzkie, barbarzyńskie — ale przecież **zasady,** myśl, filozofię — nie sentymentalne frazesy.

Zresztą nawet gdyby ci „demokraci", przedstawiciele „cywilizacji zachodniej", czy jak się jeszcze oni nazywają, rozumieli sytuację, cóż mogliby przeciwstawić myśli bolszewickiej? Tak zwaną współczesną filozofię? Takiej filozofii przecież wogóle **nie ma** — istnieje tylko tuzin tuzinkowych systemów wzajemnie się zwalczających, z których żaden nie umie człowiekowi powiedzieć jasno i mocno jakim jest sens życia, i co mamy uczynić, czto diełat? słowami Lenina. Nasze współczesne, wzajemnie skłócone filozofie, to często śliczne, cyzelowane filigranowe twory myśli, podziwu godne w swojej jednostronności — i nieżyciowości. Nie, w tak zwanej „filozofii współczesnej" europejczyk czy amerykanin dzisiejszy nie znajdzie niczego, co mogłoby stanąć do duchowej walki z myślą Lenina. Nie znajdzie jej, tym bardziej w ideologii socjalistycznej, która odznacza się właśnie tym, że filozofią nie jest, że nie posiada zwartego poglądu na świat. Nie znajdzie jej także w tych tysiącach sekt chrześcijańskich, z których każda mówi co innego, a wszystkie razem filozofiii nie lubią.

Bolszewicy wiedzą zresztą doskonale, gdzie szukać im trzeba jedynego groźnego przeciwnika. Towarzysz Aragon, znany francuski kultur-bolszewik pisał o tym niedawno: **nie ma,** powiada, na Zachodzie żadnej ideologii, żadnej filozofii, żadnego poglądu na świat naukowo rozpracowanego i tak wszechstronnego by mógł wogóle dyskutować z leninizmem — z jednym tylko wyjątkiem. Tym wyjątkiem jest tomizm. I tow. Aragon ma niewątpliwie rację. Tak zwany „Zachód" posiada jeden tylko pogląd na świat, jedną filozofię mającą możność dyskutowania na płaszczyźnie myśli, nie haseł praktycznych tylko, z myślą Lenina. Jest nią, w rzeczy samej, **tomizm.**

Niestety; tomizm jest w porównaniu do leninizmu w złym położeniu. Posiada, co prawda, więcej myślicieli, więcej ośrodków naukowych i czasopism nie tylko niż bolszewicy (bardzo pod tym względem, mimo ich czci dla filozofii, ubodzy) ale także niż jakikolwiek inny prąd myśli współczesnej. Ale, w przeciwieństwie do leninizmu, którego uczy się mas, tomizm nie jest filozofią mas ludowych Zachodu, ani nawet mas inteligenckich. Nie jest, co gorzej, nawet znany olbrzymiej większości inteligentów katolickich. W niektórych krajach, jak we Francji n. p., większość bodaj **duchowieństwa** — podobna w tym do owych likwidatorów, machistów i mienszewików których gromił Lenin — nie cierpi tomizmu; nie cierpi jego jasności, jego bezwzględności, ogromu jego syntezy wszystko obejmującej; nie cierpi jego naukowego charakteru, jego zimnej, realistycznej oceny człowieka. Większość, powtarzam, kleru francuskiego, idzie dzisiaj jak Łunaczaraski, jak Martow, jak Bogdanow wówczas—na kompromisy. O naszych, polskich stosunkach wolę nie wspominać.

Naturalnie, zwolennicy kompromisów ,intelektualnych cocktailów, myślowe linoskoczki, miękkie charaktery i płytkie umysły — proszę mi wybaczyć leninowski styl — znajdują dziesiątki argumentów na „uzasadnienie" swojej bezmyślności i swoich kapitulacji. Mówią, że jest przecież katechizm — jak gdyby katechizm wspominał choć słowem n.p. o roli nauki, albo o istocie społeczeństwa, jak gdyby to było jego zadaniem. Mówią, że katolikowi wolno nie być tomistą — jak gdyby należało czynić wszystko co nam wolno. Mówią, że sprawy społeczne przede wszystkim — jak gdyby jakiekolwiek rozwiązywanie spraw społecznych było możliwe bez podstawy metafizycznej. Dowodzą, że „scholastyczne subtelności" nic nie warte — zapominając z jakim zapałem i z jakim skutkiem Lenin i Stalin uczą najbardziej oderwanych praw heglowskiej dialektyki. Czepiają się jakichś przesądów XIX wieku o „postępie", który rzekomo tomizm usunął w cień — jak gdyby na światowym kongresie filozofii w Amsterdamie tomiści nie byli stanowili w 1948 roku największej najbardziej dynamicznej grupy i jak gdyby istniała jakakolwiek bardziej oowoczesna, bardziej dzisiejszą rzeczywistość nauki i życia ogarniająca filozofia niż tomizm; jak gdyby wielkie protestanckie uniwersytety Ameryki nie przepłacały się, aby dostać Maritain'a, Yve Simona, Adlera i innych czołowych tomistów, tych właśnie, którzy okazali się w duchowej walce najbardziej kategoryczni i nieustępliwi.

To wszystko, oczywiście, nie może być poważnie brane w rachubę. Sytuacja jest jasna. Jesteśmy świadomi, że potrafiliśmy wytworzyć typ cywilizacji nieskończenie więcej warty niż to, co nam ofiaruje Rosja. Jesteśmy świadomi, że ten typ jest żywy, że jest w rozwoju; że stoimy obecnie w obliczu konieczności przebudowy radykalnej, rewolucyjnej. Jesteśmy świadomi. że ta przebudowa może się dokonać tylko w imię jasnej, głęboko przemyślanej, konsekwentnej filozofii. Widzimy — trzeba być ślepym, aby tego nie widzieć — że jeśli nie potrafimy tego dokonać my, w imię naszej myśli, na nic nie zdadzą się bomby atomowe i dyplomatyczne chytrości: przyjdzie myśl inna, bolszewicka, aby zaprowadzić u nas rządy tego, coś my w ciągu 2000 lat naszych dziejów potrafili właśnie przezwyciężyć.

A wniosek z tego jest jasny: jeśli nie mamy ulec w walce, trzeba **przede wszystkim** oprzeć nasze działanie na gruntownie przemyślanej filozofii. Taka filozofia jest jedna tylko: jest nią tomizm. Trzeba więc odrzucić wszystkie cocktaile duchowe, wszystkie pomysły fideistów, pozytywistów, sentymentalistów, egzystencjalistów i przejść zdecydowanie do filozofii, do uznania jej roli podstawowej jako bazy i jako broni w walce — a we filozofii do tomizmu .Trzeba się tomizmu nauczyć. Trzeba następnie z tej dynamicznej i wszech-ogarniającej filozofii śmiało wyciągnąć wnioski dla naszego czasu, Trzeba wreszcie w imię na nim opartych wniosków przejść do działania. Przykro powiedzieć, ale wzorem dla nas musi być obecnie nie Churchill, nie Blum, nie żaden z naszych polityków, ale Lenin: Lenin myśliciel i niezłomny bojownik fałszywej idei, Lenin, geniusz czynu, który potrafił czyn swój oprzeć na myśli.

I. M. BOCHEŃSKI O. P.

H. MIRZWIŃSKI

WIŚNIA

Za oknem biała wiśnia
w niebie tonie —
podaj jej swe oniemiałe.
dłonie
(przedtem roztańczone śpiewem
zastygłe teraz w trosce)
uratuj ją dla kogoś
kto jeszcze nie wie
że wiosna . . .

Bo ten ktoś wciąż idzie
izgubiony w śnieżycy
chce wołać o pomoc
lecz nie może krzyczeć,
bo słowa zamarzają
w lśniące sople żalu
jak łza zatrzymana
na powieki skraju,
a prośba rzucona
rozpaczą ku niebu
opada wirując
zimną gwiazdką śniegu.

To nie śnieg, mój drogi,
patrz —
do pokoju przez okno się wciska
w ślubnym welonie kwiatów
wiśnia.

MARIAN ZDZIECHOWSKI

Dokończenie ze str. 1.

ci zbliżenia Królestwa Bożego na ziemi.

Dzieło dwutomowe „Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa" zasięgiem swoim obejmujące to wszystko co się składa na pełnię kultury duchowej, a błyskotliwe konstrukcją i talentem pisarskim, głębokością analizy i szerokością horyzontów godne jest nagrody Nobla. I to dzieło nie doczekało się tłumaczeń na języki obce. Przeorał w nim Zdziechowski podstawy duchowe kultury współczesnej, naświetlił na przykładzie wielkich twórców zdobycze myśli i serca ludzkiego. Wielcy święci, wielcy poeci i filozofowie, wielcy muzycy i pisarze symbolizują podstawy tej kultury, a Zdziechowski łączy ich wysiłek w wielki hymn do Boga, natury, wszechświata.

Odrodzenie państwowości polskiej i konflikty świata powojennego ideowe, polityczne, filozoficzne, skierowują wyobraźnię Zdziechowskiego ku tematom aktualnym.

W książce „Wpływy rosyjskie na duszę polską" naświetla głęboko tragedię duszy rosyjskiej, a w jej maksymalizmie i jej krańcowościach — od wzniosłości do podłości — widzi istotę tej tragedii. Przedstawia też wymownie obraz Polaka ulegającego silnym wpływom duchowości rosyjskiej. Jest to jedno z najgłębszych i najefektowniejszych studiów rusycystycznych.

Coraz więcej zajmuje się Zdziechowski aktualnymi zagadnieniami współczesnej kultury i cywilizacji, a wyrazem tych zainteresowań jest dzieło „Europa, Rosja, Azja". Jest to wnikliwa analiza i zarazem synteza współczesnego świata. Zdziechowski przeczuwał upadek Europy, widział kryzys tego, co nazywamy kulturą zachodnią, trafnie przewidział niebezpieczeństwo eurazjatyckie w postaci bolszewizmu, prorokował koniec kultury i cywilizacji współczesnej. W słowach mocnych i stanowczych aktualizował teorię niebezpieczeństwa grożącego światu od zwycięstwa żółtej rasy, opartego o dynamizm doktryn komunistycznych, a niebawem mającego zapanować nad tym światem.

Jak w studium o modernizmie katolickim ukazał Zd..iechowski głęboko religijny p..dk..ad swojej twórczości pisarskiej, tak w studium „O Okrucieństwie" ujawnił swoje głębokie człowieczeństwo. W fakcie okrucieństwa widział największy upadek człowieka, stoczenie się poniżej wszelkiej normy zwierzęcej, największe i najgorsze zło. I gdyby nie umarł Zdziechowski w r. 1938 (ur. 1861), gdyby dożył tej wojny i jej niesłychanych okrucieństw, to nie wiem czy pierwsze zetknięcie się z atmosferą i faktami tych czasów nie przeciełoby jego żywota, nie rozsadziłoby serca. Te dwa małe dziełka — o modernizmie katolickim i o okrucieństwie — malują całą postawę duchową Zdziechowskiego, są jego pięknym konterfektem psychofizycznym i moralnym.

Ze zgonem Zdziechowskiego zbiega się wydanie nowego dzieła — testamentu niejako — którego tytuł zbliżony jest do określeń jak „w obliczu katastrofy", czy „w obliczu końca" (tak mi się wydaje, nie jestem tego pewien) .W dziele tym wyraźnie zapowiada Zdziechowski początek końca kultury zachodniej i upadek współczesnego świata. Zapatrzony w lepsze zaświaty, żegnał świat doczesny wizją końcowej katastrofy, nadejściem antychrysta.

* *

Uwagi te są reakcją, jak zaznaczyłem, na żart primaaprilisowy „Tygodnika Powszechnego". Nie silą się one na objęcie całości twórczości pisarskiej Zdziechowskiego, rzucają tylko pewne myśli i pewne sformułowania. Ale nie spos..b pominąć tu jego studium o Ch..teaubriandzie. W monografii tej szeroko traktującej tło historyczne i polityczne, wnikliwie analizującej twórczość znakomitego pisarza i polityka francuskiego, Zdziechowski miał możność pełnego wypowiedzenia się w sprawach politycznych. Dał więc upust swoim sympatiom monarchicznym, wykazał zamiłowanie do tradycji, wypowiedział się za ustrojem wolnościowym. Skłonność do rozważań politycznych występowała we wszystkich pismach Zdziechowskiego. Stąd jego studia o T. Massaryku („Lui et moi") i o stosunkach polsko-węgierskich, a do Węgier czuł Zdziechowski specjalne sympatie z powodu ich katolicyzmu, monarchizmu, zamiłowania do tradycji.

Zabierając często głos w sprawach politycznych i popierając „Słowo" wileńskie St. Mackiewicza, Zdziechowski nie wziął bezpośredniego udziału w czynnym życiu politycznym, aczkolwiek nasuwały się aż dwie okazje. Jak wiadomo, Piłsudski miał słabość do znakomitych profesorów. Po zamachu 1926 r., rozważając kandydatury na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej, wahał się z wyborem pomiędzy prof. Mościckim i prof. Zdziechowskim. Prof. Zdziechowski w rozmowach na ten temat odrazu zaznaczył swoją bezkompromisową niezależność żądając, jako warunku wyrażenia zgody, dokładnego śledztwa i ukarania winnych zaginięcia gen. Zagórskiego. Już po wyborze prof. Mościckiego na Prezydenta R. P. Zdziechowski wystosował list otwarty do nowego Prezydenta, poruszając tajemnicę zaginięcia gen. Zagórskiego. Znane też są okoliczności rokowań premiera Bartla ze Zdziechowskim w sprawie objęcia przez niego stanowiska Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. I znowóż po raz drugi prof. Zdziechowski wykazał swą niezależność, stawiając za warunek nienaruszalność autonomii uniwersyteckiej i zaniechanie wszelkich w tej mierze projektów.

Zdziechowski był zawsze konsekwentny w swoich pracach pisarskich i w działalności publicznej. Jako rektor uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie witał przybywającego po raz pierwszy po roku 1926 marszałka Józefa Piłsudskiego bardzo serdeczną mową, której lwią część poświęcił wspomnieniom i rozważaniom na temat zasług i zalet umysłu gen. broni Tadeusza Rozwadowskiego... Sytuacja była nadwyraz zabawna. ale jakże dobrze świadczyła o nadal pozostających w serdecznych stosunkach Piłsudskim i Zdziechowskim. Adolf Nowaczyński niejednokrotnie usiłował ośmieszyć wystąpienia polityczne Zdziechowskiego, a zwłaszcza, jak to nazywał, jego staropanieński flirt z Węgrami. Satyrykowi i pamfleciście wolno było dworować z czyjejś stałości poglądów i sentymentalnych uczuć w polityce. Bezstronnemu badaczowi pozostanie tylko zapisać na dobro Zdziechowskiego stałość tych poglądów oraz ich wielką niezależność.

Wydając ongiś studium o Zdziechowskim i charakteryzując jego twórczość pisarską powołałem się na zdanie Mickiewicza, który w wykładach paryskich stwierdził, że w Polsce każde znakomite dzieło literackie jest dziełem politycznym. Wzruszyło to niezmiernie Zdziechowskiego i w pięknym liście skierowanym do mnie uzasadniał trafność tego określenia.

Odkładając na bok dobry żart primaaprilisowy „Tygodnika Powszechnego", należało przypomnieć dzieło i postać Mariana Zdziechowskiego i wyrazić nadzieję, że nadejdą czasy, kiedy wydanie zbiorowe pism wielkiego myśliciela w Polsce stanie się najpoważniejszą troską wydawniczą w imię potrzeb kultury polskiej.

W. P.

„Nad pracą, kredytem i wymianą roztacza swą władzę ten czwarty czynnik w gospodarce społecznej — spekulacja".

PROUDHON

JERZY ZDZIECHOWSKI

BEATI POSSIDENTES*)

ROK 1933. Na świecie około 30 milionów robotników tracą zajęcie. Stany Zjednoczone znajdują się już w obliczu 13 milionów bezrobotnych. Przedstawiciele władz tracą głowy wobec paniki, która ogarnia klasy posiadające i niepokojących nastroi robotników wydziedziczonych z prawa do życia. Trudno było nie dojrzeć wszędzie dokoła „ludzi zapomnianych", jak ich następnie nazwał Roosevelt. Zachodziła obawa, że gwałtownie przypomną się pamięci tych, który świadomie przy podziele dochodu narodowego pragnęli ich odtrącić.

„W pierwszym rzędzie, mówi Roosevelt w marcu 1933 r. po objęciu władzy, pozwólcie mi wyrazić przekonanie, że jedyną rzeczą, której się obawiać powinniśmy, to bać się samych siebie". Prezydent przestrzegał przed tym niewyrozumowanym strachem, który paraliżuje niezbędny wysiłek potrzebny do przejścia od cofania się do natarcia. Strach i panika były jednak wówczas najbardziej uzasadnione, bo niewiele brakowało do wybuchu zaburzeń, może nawet rewolucji. Roosevelt ochronił w chwili groźnej Stany Zjednoczone od zamętu, który mógł pchnąć je łatwo w objęcia komunizmu. Taka ewentualność wydawała się Pani Sydney Webb wyjątkowo nęcącą. Zadała ona znacznie później Hermanowi Finerowi, autorowi ciekawej książki, namiętnie zwalczającej liberalne teorie prof. Hayek'a pytanie: „czy nie byłoby lepiej dla Ameryki, gdyby nie było w 1933 r. ani Roosevelta ani New Deal'u". Ta spragniona wrażeń, a zerkająca bardzo na lewo niewiasta, nie miała wątpliwości, że wybuchłaby wtedy rewolucja, a co ją interesowało przede wszystkim, to przekonać się „czy Stany Zjednoczone okazałyby się tak pełne męskiej postawy, jak Z.S.R.R., czy tak dekadenckie, jak wielka Brytania"?

To istotne niebezpieczeństwo rewolucji, które groziło Stanom Zjednoczonym, połączone ze srogim zawodem p. Sidney Webb, przypominają jedno wypowiedzenie Proudhon'a, które uważane było za utopijne, a okazało się jednak nie pozbawione realizmu. Ten komunista dla buržujów, a buržuj dla koumnistów, w swym **Manuel du speculateur à la Bourse** przed 100 laty przewidywał, iż ekscesy w spekulacji akcjami i zbożem będą musiały skończyć się rewolucją.

Niewiele brakowało, by ta odległa wizja sprawdziła się w tych dniach dramatycznego napięcia, gdy na sygnał największej giełdy świata waliło się wszystko wokoło, a Roosevelt brał ołówek do ręki, by szkicować bilans Stanów Zjednoczonych. Nie mógł mieć wątpliwości. Passywa według cen, które runęły, przewyższały aktywa. Całe zagadnienie w tym właśnie tkwiło. Albo należało przyznać się do bankructwa i zmniejszyć długi, albo podnieść aktywa, powiększając w dolarach ceny. Jeśli siła nabywcza rolników odpowiednio nie wzrośnie, jak tu dźwignąć produkcję przemysłową, która spadła do połowy? Troszcząc się o tego, który orze i sieje, a przez życie całe nie dotykał złota, Roosevelt znajduje rozwiązanie, które przywraca równowagę w gospodarstwie Stanów Zjednoczonych. Będzie sprawiedliwiej, mówi sam do siebie, zmniejszyć ilość złota o połowę w tym dolarze który stanowi dług rolnika, niż dopuścić, by ten dług miał on spłacać podwójną ilością wyprodukowanej w pocie czoła pszenicy.

Jednocześnie Prezydent ostro występuje przeciw przywilejom, z których korzystała, jak twierdził, grupa osobników nielicznych, ale bardzo potężnych, grupa, która miała tak wielki autorytet, że kierowała interesami, bankami i nawet rządem". Czas było wielki położyć nareszcie kres „tej wzrastającej koncentracji bogactw w coraz mniejszej ilości rąk". Zło jednak było tak głęboko zakorzenione, że na nic się nie zdało publiczne potępianie tych sześciuset towarzystw, które kontrolowały dwie trzecie przemysłu amerykańskiego. Przewidywania Roosevelta, iż posuwając się w tym tempie, dojdzie w Stanach Zjednoczonych do tego, iż cała produkcja amerykańska będzie kierowana przez stu ludzi, nie tak bardzo odbiegły od rzeczywistości. Po roku wojny i po 10-ciu latach prezydentury, Roosevelt nie potrafił nic w tym stanie rzeczy zmienić na lepsze. Sto towarzystw były wówczas w posiadaniu obstalunków w 70% sum, na które opiewały kontrakty zawarte przez rząd. Stary zegar, w którym Roosevelt chciał „wznowić prawidłowy bieg wahadła", nie dał się naprawić. Przyśpieszony ruch wahadła, trwający od „trzech generacyj", utrwalał panowanie pieniądza.

A jednak zło, na które palcem wskazywał Roosevelt, było już przed nim napiętnowane. Stało się to zaledwie dwa lata przed kulminacyjnym punktem kryzysu w Stanach Zjednoczonych, gdy Ojciec Święty Pius XI w dniu 15 maja 1931 r. poruszył ten sam temat, pogłębiając znacznie bardziej istotę zagadnienia.

Roosevelt nadaremnie próbował usunąć objawy zła. Ojciec Święty wskazywał na jego przyczyny, pragnąc, by zło u źródła wykorzenione zostało. „Przede wszystkim uderzającym w naszych czasach zjawiskiem, czytamy w Encyklice „Quadragesimo Anno", jest skupienie się nie tylko samych bogactw, ale także ogromnej potęgi i despotycznej władzy gospodarczej, w rękach niewielu, którzy w dodatku często nawet nie są właścicielami, lecz tylko stróżami i zarządcami kapitału, a którzy mimo to kierują nim w sposób samowolny". Groźną i niebezpieczną wydawała mu się presja, wywierana przez tych „którzy jako stróże i kierownicy kapitału finansowego władają kredytem i rozdzielają go według swej woli. W ten sposób regulują oni niejako bieg krwi w organiźmie gospodarczym i sam żywioł gospodarczego życia trzymają w swych rękach, że nikt nie może wbrew ich woli oddychać".

Dla zaradzenia podobnym skutkom, trzeba było móc zło u źródła wyplenić. Ale źródło tkwiło w całym systemie ekonomicznym, w tym zdegenerowanym kapitaliźmie, w którym apetyty pieniądza potrafiły ostateczną linię podziału przeprowadzić między gospodarczym światopoglądem a moralnością. To też Roosevelt zmuszony był zaradzić wciąż nowym przejawom kryzysu. Bez podniesienia siły nabywczej nie mogło być mowy o podniesieniu upadającej produkcji. Zasadnicza zmiana w podziale dochodu społecznego stawała się nakazem. Innej drogi nie było, jak zaradzić bezrobociu i podnieść płacę. Prezydent rozumiał, iż idąc w tym kierunku, trzeba narzucić przemysłowcom nowe pojęcia i zmusić ich do uległości. O to, że płace winny zapewnić robotnikowi egzystencję, nikt się nie spierał. Ale nowym było, gdy powiedział, co przez to rozumieć należy. „Płaca zapewniająca egzystencję, oświadczył Roosevelt, powinna stwarzać warunki przyzwoitego życia". Trzeba było załamania się gospodarstwa najbogatszego kraju świata, by te słowa wycedzone zostały tylko dlatego, że widziano w nich deskę ratunku. Jak światłą w porównaniu z tą receptą in extremis wygląda genialna wizja Leona XIII, który w epoce ładu i pokoju, bo w 1891 roku, zwracając się do rządzących, do pracowników i bogaczy, kreślił w Encyklice „Rerum Novarum" ich obowiązki wobec ludzi pracy. Już wtedy widział Ojciec Św. konieczność wyrwania robotników z rąk „możnych i bogaczów, którzy założyli jarzmo prawie niewolnicze niezmiernej liczbie proletariuszów".

Leon XIII ogarniał spojrzeniem w końcu ubiegłego wieku to, co Roosevelt pod wpływem kataklizmu dojrzał dopiero w 1933 roku. Nie zrozumiano, jak cenne nauki z tej Wielkiej Encykliki wypływały. Wyłuszczone tam były zasady, które odtrącono, rady, które zlekceważono i ostrzeżenia które puszczono w niepamięć. Możni tego świata nie zechcieli, niestety, czerpać z tych przedziwnych wskazań wiedzy rządzenia. Gdzie szukać na przykład bardziej pouczającej formuły dla podziału dochodu narodowego, jak w tych słowach Wielkiego Papieża: „Przykazaniem więc sprawiedliwości jest publiczna opieka nad pracownikami taka, by z tego, co do dobra publicznego dorzucają tyle przynajmniej z powrotem otrzymali, iżby sobie zapewnili mieszkanie, odzienie i środki żywności i by w ten sposób łatwiej mogli znosić uciążliwości życia". Ale to nie wszystko, do sprawy płacy jako szczególnie ważnej Ojciec Święty kilkakrotnie powraca i mówi: „Pracownik, jeśli będzie otrzymywał płacę wystarczającą mu na utrzymanie własne, żony i dzieci, będzie też z pewnością, idąc za głosem rozsądku, oszczędzał i będzie się starał, do czego sama natura wzywa, odłożyć coś z dochodów, aby z czasem dojść do skromnego mienia... Dlatego ustawodawstwo winno... w miarę możności starać się, aby jak największa liczba ludności chciała własność posiadać. Wypłyną stąd wielkie korzyści, przede wszystkim sprawiedliwszy podział dóbr materialnych".

Mamy więc tu określenie sprawiedliwej płacy. Jeśli Roosevelt powiedział, że powinna ona stworzyć warunki przyzwoitego życia, to Papież Leon XIII ogłosił, iż powinna ona się przyczynić do rozszerzenia własności prywatnej na największą możliwie liczbę ludzi.

Te wskazania, ogłoszone przed blisko 60-ciu laty, gdyby w swoim czasie były usłuchne i w czyn wprowadzone, dałyby naturalnie podstawy do wzrostu siły nabywczej mas tak niezbędnej dla utrzymania w gospodarstwie światowym równowagi między wytwórczością a spożyciem, a co jeszcze ważniejsze, wstrzymałyby rozwój komunizmu. Właściwy podział dochodu narodowego, na który Leon XIII kładzie nacisk, nie tylko jest dzisiaj środkiem dla przestrzegania sprawiedliwości społecznej, ale w najnowszej teorii ekonomicznej staje się w ręku państwa potężnym narzędziem dla utrzymania zatrudnienia na najwyższym poziomie i zwalczania depresji i kryzysów gospodarczych.

Jerzy Zdziechowski

***) „Błogosławieni, którzy posiadają" — Jest to fragment książki przygotowanej przez autora do druku w języku francuskim p.t. „Leurs actes les suivent".**

NOTATNIK

ROK BALZAKA

Nigdy jeszcze żaden autor nie był czczony w ten sposób. Francja poświęca rozpamiętywaniu wielkości dzieła Honorego Balzaka piętnaście miesięcy, które nazwane będą rokiem Balzaka. Tak się złożyło, że piętnaście miesięcy dzieli sto pięćdziesięciolecia rocznicę urodzin Balzaka w maju 1949 roku od stuletniej rocznicy jego śmierci, która przypada 20 sierpnia 1950 roku.

Uroczystości rozpoczną się 28 maja czterodniowym kongresem w Tours, rodzinnym mieście pisarza. Ministerstwo Oświaty zastanawia się nad wystąpieniem z wnioskiem o przeniesieniu zwłok Balzaka do Panteonu choćiaż ci, którzy tak licznie corocznie odbywają pielgrzymki na cmentarz Père Lachaise, gdzie spoczywa, nie pragną wcale zerwania z tą formą cichego a wielkiego jednak dzięki stuletniej swej tradycji hołdu.

Dzisiej dopiero Francja może sobie zdać sprawę z wagi wieszczych przeczuć wielkiego pisarza. Czyż nie powiedział on: — „Odwaga, z jaką komunizm tak logicznie wywodzący się z demokracji atakuje moralne podstawy społeczeństwa, dowodzi, że Samson ludowy stając się ostrożniejszy, niszczy kolumny ładu społecznego w **piwnicy** zamiast uderzać w nie w sali uczty. Od 1792 wszyscy proletariusze Francji stali się solidarni. Zrozumieją to dopiero, gdy poczują, iż są zagrożeni we własnym domu, a wtedy będzie zapóźno".

Warto te słowa rozpamiętywać w roku Balzaka.

GDZIE ZASADY?

Pan Acheson sekretarz Stanu do Spraw Zagranicznych w rządzie Prezydenta Trumana dotąd wyobrażał sobie, że Stany Zjednoczone winne dbać o to, by ten czy inny kraj miał ustrój odpowiadający zasadom, którym hołduje Ameryka. „Patrzcie, powiada, na ten reżym gen. Franco, to przecież faszyzm, dyktatura na wzór Niemiec i Włoch. Prawa, na których opiera się wolność jednostki nie są uznawane. Wolność religii nie egzystuje, nie ma wolności łączenia się w związki. Sądownictwo nie jest niezależne, a habeas corpus — nieznany".

Z rozumowania p. Achesona wynikało, że mianowanie ambasadora w Madrycie bez uzyskania gwarancji zmiany stosunków było by dowodem, iż Stany nie troszczą się o zasady, które przestrzegają u siebie. Zapytano więc p. Achesona na konferencji prasowej dlaczego nie odwołuje on ambasadorów i ministrów z państw za żelazną kurtyną, gdzie nie dzieje się chyba lepiej. Minister odpowiedział: „Ponieważ myśleliśmy, że odwołanie ambasadora będzie miało wpływ na reżym generała Franco a okazało się, że nie miało żadnego, wyprowadzamy wniosek, że jeżeli ten środek nie podziałał w stosunku do jednej dyktatury nie ma mowy, by podziałał w stosunku do innych.

Dobrze jest czegoś się nauczyć, ale gdzież podziały się zaszczytne hasła i zasady?

SZKOŁA KACETOWA

Ciągle jeszcze nie zdajemy sobie sprawy z rozmiarów krzywdy już nie fizycznej lecz moralnej, jaką wyrządzili nam Niemcy przez masowe zsyłanie ludzi do Kacetów. Nie tylko wyginęły tam setki tysiecy ludzi, ale setki tysięcy zostało zdemoralizowanych. Największą w tym zakresie zbrodnią była deportacja nieletnich. „Kto gorszy jeno z tych maluczkich".

Ostatnio schwytano na włamaniu w Londynie dwudziestoletniego Wojciecha Bełzę, przybyłego z Niemiec jako EVW. Zeznał on, że nauczył się kraść w Kacecie, gdzie spędził kilka lat. W chwili wybuchu wojny miał lat dziesięć.

Policja niemiecka w Osnabrueck ogłosiła, że ujęła sprawców napadu rabunkowego i morderstwa na osobie brytyjskiego radcy finansowego w jego domu pod Hanowerem. Bandytami mają być Polacy z dawnych „kaceciarzy". Jak zeznała żona zamordowanego byli to dwaj młodzi ludzie.

KOLOROWI DYPLOMACI

Zwolna przyzwyczajamy się do tego, że nie tylko ludzie biali prowadzą politykę światową. Na konferencji premierów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów było trzech kolorowych mężów stanu. Arbitrem między Żydami a Arabami jest czarny dr. Bunche. Ostatnio zaś w służbie dyplomatycznej holenderskiej pojawili się Malajowie. Szereg z nich otrzymało stanowiska wicekonsulów na zasadzie umowy między rządem holenderskim a federacją Indonezyjską. Okres dumnego poczucia wyższości rasowej Europejczyków kończy się.

KIEDY ICH REPATRIUJĄ?

Tragiczny paradoks: W tym samym dniu, kiedy władze brytyjskie zezwoliły na lądowanie uciekającemu nielegalnie z Polski na angielskim statku działaczowi narodowemu p. Sergotowi, ze statku polskiego „Batory" zdjęto komunistę niemieckiego Eislera, uciekającego nielegalnie ze Stanów Zjednoczonych do Gdyni by ujść sprawiedliwości za knowania komunistyczne w Ameryce, prowadzone od dziesięciu lat. „Batory" staje daleko na redzie w portach, ponieważ zachodzi obawa ucieczki załogi, jak to się już zdarzyło niedawno w Nowym Jorku. Polska jest więzieniem dla Polaków a domem zajezdnym dla komunistów z całego świata. Statki polskie są więzieniam dla polskich marynarzy, przytułkiem dla międzynarodowych zbrodniarzy. Wolności szukają Polacy na obcych statkach i na obcej ziemi.

I tego za wiele zdaniem komunistów. Katz - Suchy, imieniem „rządu polskiego" zażądał przymusowej repatriacji wszystkich „D.P." z Niemiec. Kiedyż nastąpi przymusowa repatriacja komunistów, którzy najechali Polskę?

PIELGRZYMKA AKADEMICKA



Pielgrzymka Akademicka do Walsingham jest jednym z najważniejszych wydarzeń polskiego życia w W. Brytanii. Zorganizował ją 5 osobowy Komitet z X. mgr. H. Kornackim na czele. Na zdjęciu W.X. Kornacki z dwoma członkami Komitetu.

SEWERYN WOJTECKI

Korespondencja własna ŻYCIA z Meksyku

„NAJDROŻSZA CORA HISZPANII"

KOŚCIÓŁ W MEKSYKU

JAK się dziś ułożyły w Meksyku Oficjalnie, Kościół jest wyjęty stosunki z Kościołem? spod prawa, na papierze nie odwołano żadnego z paragrafów.

Ale ponieważ walka z kościołem, była walką z ogromną większością narodu; ponieważ prześladowani krwawo katolicy, w obronie praw Chrystusa Króla i swoich przekonań po wyczerpaniu wszelkich środków pokojowych jęli się bojkotu ekonoimcznego, potem zaś niektóre odłamy Ligi Obrony Praw Kościoła chwyciły za broń doszło do formalnej wojny domowej, rządząca masoneria, chcąc uniknąć ruiny, poszła na prywatne układy z Episkopatem, zawiesiła akcję prześladowczą, zezwoliła na otwarcie kościołów. Ta pacyfikacyjna polityka ostatnich prezydentów (Cardenas, Avila, Comacho) stworzyła modus vivendi. Skończył się okres soldateski i zbrojnych dyktatur różnych watażków. Z drugiej strony i Stany Zjednoczone w okresie wojny chciały mieć spokój u sąsiadów, wycofały się z jawnego popierania prześladowców, nastąpiło zawieszenie broni, treuga, pacyfikacja stosunków.

Kościół, choć pozbawiony wszelkich praw, wzmocniony krwią męczenników odbudowuje ruiny, leczy zadane rany; więcej — wchodzi w okres moralnej ofensywy.

Jest rzeczą uderzającą, że prawie wszystkie świątynie w Meksyku są albo odnowione, albo w stanie naprawy. Ponieważ Kościół czerpie fundusze z ofiar wiernych, już sam ten fakt świadczy o miłości ludu dla Kościoła. Pozamykane seminaria organizują się na nowo. W większych miastach, jak Meksyk, Puebla, zwolna ale planowo następuje budowa nowych seminaryjnych gmachów.

Rewolucja zamknęła wszystkie katolickie szkoły i szkółki. W kraju o przewadze analfabetów był to poważny cios dla oświaty. Dziś sam rząd rzuca hasła rozbudowy szkół, wzywając do pomocy nawet sekty amerykańskie. Toteż przez palce patrzy się na tworzenie szkół formalnie laickich, ale o duchu katolickim. Jezuici, Maryści, Bracia szkół chrześcijańskich na nowo zakładają swe kolegia, choć o świeckim charakterze szkół prywatnych. W programach nie ma religii, ale tylko „moralidad", wychowanie moralne, na ścianach nie ma krzyża lub emblematów religijnych w myśl zakazów; ale krzyż chrystusowy buduje się w sercach młodzieży. Nauczyciele, lub nauczycielki zakonne występują jak ludzie świeccy, ale ich wpływ sięga serc i dusz. Szkoły Jezuitów i Marystów są uważane za najlepsze pod względem poziomu naukowego. Syn obecnego prezydenta uczęszcza do kolegium zakonnego...

Katolicyzm idzie w masy. Nie pomogła szalona propaganda ateistyczna idąca z Sowietów, lub protestancka idąca ze Stanów.

W 1946 r. z powodu 50 rocznicy koronacji patronki narodu M. Boskiej z Guadalupe na prywatny przyjazd kard. Villneuve z Kanady wyległo do 30.000 ludzi. Pielgrzymkę studentów medycyny obliczano do 5 tyś. Pielgrzymka robotników meksykańskich doszła do 20 tysięcy.

Praca Callesa, Wilsona i Roosevelta, praca tow. Umańskiego wydała mimo siły karabinów, siły dolarów i rubli nikłe rezultaty. Dziś Meksykanie akcentują swoją wiarę wszędzie i we wszystkim.

Szoferzy w taksówkach i autobusach miejskich wywieszają obrazki święte, krzyżyki, różańce. Kiedy w roku bieżącym komunistyczny malarz Diego Ribera we freskach nowego, luksusowego hotelu umieścił bluźniercze malowidło, zaprotestowano mocno i władze kazały zamalować napis „nie ma Boga"! Natomiast po sklepach, restauracjach, taksówkach i autobusach pojawiły się proporczyki z napisem: „si, Dios existe"! — Tak Bóg istnieje. —

Każda wystawa księgarska zawiera dzieła religijne. A są to rzeczy poważne i wartościowe, bądź oryginalne, bądź tłumaczenia współczesnych myślicieli i pisarzy katolickich dzisiejszego świata. W dużej mierze przychodzi tu z pomocą rozbudowane świetnie katolickie księgarstwo w Argentynie.

Brałem parokrotnie osobiście udział w nabożeństwach robotniczych w Leonie w dn. 8-go grudnia ku czci M. Bożej. Jest coś wzruszającego w tych falangach robotniczych maszerujących fabrykami, z różańcami i kwiatami w rękach, z meksykańskimi sztandarami na czele, by oddać hołd Matce Chrystusa.

Oczywiście, świątynia tych zastępów objąć nie może. Ulica zamienia się w kościół. Chrystus wychodzi na ulicę żywy i zwycięski. A trzeba dodać, że wśród nowoczesnych męczenników z Meksyku, wieszanych, rozstrzeliwanych, palonych — udział robotników jest bardzo znaczny.

Rewolucja milczkiem bierze to pod uwagę i wyprowadza wnioski.

Toć sam Calles umierając w 1945 r., umarł pojednany z Bogiem. Jeden z jego bliskich współpracowników Padilla, prokurator generalny w sądzie nad grupą katolickiej młodzieży w procesie Torala, wysuwając swą kandydaturę na prezydenta wysunął i hasło swobody religijnej... Nie zapomniano mu jednak poprzedniej działalności. Soczyste urywki z jego przemówień antykatolickich umieszczono na plakatach propagandy wyborczej.

STOSUNEK DO HISZPANII

Pisząc o Meksyku trudno nie wspomnieć o jego stosunku do Hiszpanii.

Meksyk wszedł w skład krajów korony hiszpańskiej dzięki konkwiście Ferdynanda Corteza w 1519 roku. Przez lat trzysta był najdroższą córą Hiszpanii. „la hija predilecta de Espana". Nosił nawet tytuł oficjalny „Nueva Espana".

Ruch niepodległościowy zaczął się w okresie najazdu Napoleona na Hiszpanię i jej okupacji. Ostatecznie dzieła niepodległości dokonał w 1821 roku hiszpański generał Miguel Iturbide, któremu naród zaofiarował koronę cesarską. Wszak przykład Napoleona był tak niedaleki, ale wkrótce Meksyk przeszedł przez szereg wstrząsów. Rozrywały się coraz bardziej więzy z Hiszpanią, a ujawniał się coraz bardziej decydujący wpływ Washingtonu. Cały wiek XIX to okres anarchii, walk o formę rządu z silnym wpływem ze strony Stanów Zjednoczonych. Dopiero długoletnie rządy gen. Porfirio Diaza od r. 1834 aż do r. 1911 wyprowadziły kraj z zamętu. Z upadkiem jednak Diaza rozpoczyna się znów krwawy rewolucyjny chaos. Dopiero lata trzydzieste obecnego wieku przyniosły falę może czasowego uspokojenia.

Jak się obecnie przedstawia stosunek do dawnej macierzy?

Jadąc do Meksyku byłem przekonany, że zionąć on musi nienawiścią do dawnych konkwistadorów. Naczytałem się przecież o ich okrucieństwie i o wyzysku podbitych przez Hiszpanię krajów. Z doświadczenia też wiadomo, jaką ślepą i ciasną nienawiścią potrafi tchnąć jakiś kraj, który wskutek procesów historycznych, nawet nie podboju, stanowił część kraju drugiego np. Litwa do Polski...

Przekroczywszy w Laredo granicę Meksyku, zostałem zaskoczony w pierwszej restauracji, ujrzawszy portret gen. Franco i króla Alfonsa XIII. Tłumaczyłem sobie, że właściciel zapewne jest Hiszpanem. Ale z drugiej strony uderzał fakt swobodnego manifestowania swoich arcyhiszpańskich uczuć w kraju, który oderwał się od Hiszpanii...

Wkrótce zdałem sobie sprawę, **jak żywą jest Hiszpania w Meksyku i jak na terenie Meksyku** jeszcze dziś dostrzec można odwieczną walkę dwóch elementów o wpływy kulturalne i polityczne: anglo-saksonizmu z hiszpańskością. Amerykański anglosaksonizm od lat stu wywiera omal decydujący wpływ na ruch polityczny. Ambasador amerykański przez patriotów meksykańskich w prasie i książkach nosi publicznie przydomek „Prokonsula"... A ponieważ rządzące sfery mają poparcie Washingtonu, stąd zewnętrznie manifestuje się niechęć do wszystkiego, co jest prohiszpańskie i katolickie. Z drugiej strony w masach zwłaszcza tych, w których płynie krew indyjsko hiszpańska, tkwi duży sentyment do tradycji pohiszpańskich i płonie żar katolicyzmu, który Hiszpania zaniosła do Nowego Świata.

FAŁSZE ANGLOSASKIE

Zrozumiałem też, że my Polacy w ocenie Hiszpanii i jej potężnego rozmachu w okresie odkryć jesteśmy zdani na opinie bardzo stronnicze i zdecydowanie wrogie uczonych anglosaskich.

Bo w ciągu wieków Hiszpania nie była okrutną macochą dla ziem zdobytych. Świadczy o tym to, co pozostało z okresu jej trzechsetletniego władania: piękne miasta z tradycyjną „Alamedą" — parkiem w środku, cudowne kościoły, gmachy dawnych uniwersytetów, szkół, szpitali, instytucji dobroczynnych. Świadczą o tym znakomite „Las Leyes de Indias" nadane przez Filipa II a biorące w obronę osobistą wolność Indianina, normujące czas pracy (**ośmiogodzinny dzień pracy... w XVI wieku**), normę płacy i warunki jego życia duchowe i rodzinne. A nie było to tylko literą, bo gdy drugi z kolei vice król Meksyku Don Luis de Velasco wprowadzał w czyn zarządzenia królewskie wyzwalając ponad 150 tysięcy Indian pracujących w kopalniach, odpowiedział opozycjonistom: „Wolność Indian więcej warta, niż wszystkie kopalnie świata".

Ze zdziwieniem przekonałem się, że o zdobywcy Cortezie mówi się z pewną czcią, jako o ojcu narodu meksykańskiego, który żrące się wzajem plemiona złączył w potężną całość zakreślając przyszłe granice meksykańskiej ojczyzny, wyrwał z okrucieństw idolatrii i przesądu, dał podwaliny cywilizacji europejskiej, prawa i ustroju, a wreszcie złączył krew indyjską z krwią europejską na podstawach chrześcijańskiego równouprawnienia!

Żaden konkwistador angielski takich po sobie zasług nie pozostawił, a Stany Zjednoczone jeszcze w XIX

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

UMARŁ MAURYCY MAETERLINCK

UMARŁ Maurycy Maeterlinck. Prasa światowa wspomina o tym bez przekonania, że może to kogoś zainteresować poza szczupłym gronem intelektualnych starców. I dziw człowieka bierze, nie że Maeterlinck umarł, ale że żył dotąd. Bo epoka Maeterlincka umarła przed przeszło trzydziestu laty.

Epoka Maeterlincka! Współczesny człowiek z trudnością wierzy, że epoka taka istniała i że było to stosunkowo niedawno, za młodości naszych ojców. O ileż starszy jest Maeterlinck od Kasprowicza czy Péguy! Sława jego była dlatego właśnie tak wielka, że tak całkowicie związana z gustem epoki, tak przemijająca. W rodzinnej jego Belgii na wystawach niektórych księgarń zauważyć można, otrzepane z kurzu ale zszarzałe od długiego leżenia w składzie, niektóre książki zmarłego pisarza: wyciągnięto je z okazji śmierci, dla prestiżu ale bez nadziei na popyt. Cóż pozostanie z Maeterlincka? Może „Życie pszczół" i „Życie termitów", dwie piękne fantazje na tematy przyrodnicze. Niejeden współczesny nie będzie nawet pamiętał, kto pozostawił mu ten obraz mrowiska jako istoty żywej i termitów jako komórek tej istoty.

Były to czasy ostatniego rozbłysku kończącej się mieszczańskiej, agnostyckiej, liberalnej, kosmopolitycznej Europy. Literatura tej epoki stanowiła istotnie całość międzynarodową. Stolicą jej był Paryż, odwiedzany przez wszystkich, głównymi miastami prowincjonalnymi Berlin Strindberga i Przybyszewskiego, Londyn Russella, Rzym D'Annunzia. Z Paryża szła moda i dyktando. Jak wielka była władza ośrodka paryskiego, o tym świadczy początek kariery Maeterlincka. Z nieznanego nikomu poza szczupłym granem przyjaciół z „La Jeune Belgique" — odpowiernik ówczesnej „Młodej Polski" stał się czołową postacią literatury dosłownie w ciągu jednego dnia. Sprawił to jeden artykuł nawpół zapomnianego dziś autora i krytyka, Octave Mirbeau, bożyszcza ówczesnej krytyki. Mirbeau, sam naturalista i autor „Pamiętnika Służącej", zachwycił się, niewiadomo dobrze czemu (krytycy miewają swoje humory), symboliczną sztuką Maeterlincka „Princesse Maleine", i w „Figaro" z dnia 24 sierpnia 1890 napisał artykuł, w którym uznał ,że dramat młodego Belga jest „mocniejszy od Szekspira". Świat cywilizowany ze czcią pochylił głowę i czytać zaczął namiętnie nowego geniusza.

Postać Maeterlincka jest sama niezmiernie charakterystyczna dla epoki. Syn zamożnych mieszczan flandryjskich z głową jakby żywcem wyjętą z obrazów Van Eycka, łączył w sobie skłonność do najbardziej abstrakcyjnych wzniosłości subtelnego estetyzowania z solidnym zmysłem handlowym i dużym poczuciem własnej godności. Ojczyzna obchodziła go mało i rzadko do niej przyjeżdżał, zachował przecież pewną lojalność patriotyczną. Wierzył w piękno, Mądrość i Dobro ale nie wierzył w żadne dogmaty. Natomiast nie miał wątpliwości w trwałość świata europejskiego i jego urządzeń.

Uderza kontrast między jego religijnym stosunkiem do sztuki, miłością do symbolu, a pustką metafizyki za tą wspaniałą fasadą. Świątynia bez ołtarza. Maeterlinck był wychowankiem jezuickiego Kolegium Świętej Barbary w Gandawie, mieście obchodzącym w tym roku swoje tysiąclecie. Była to szkoła typu ośmnastowiecznego, gdzie wciąż grzmiano o piekle i wystawiano „eklogi". Jedną taką „eklogę" na dwudziestopięciolecie ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu pt. „Notre Dame d'Oostacker" ułożył Maeterlinck. Była to jego pierwsza sztuka. Z tej szkoły nie wyniósł on wiary, ale wyniósł nierozerwalne przywiązanie do zewnętrznej strony kultu, ukształtował swoją wyobraźnię na liturgii katolickiej, na bogatych tradycjach średniowiecza i baroku chrześcijańskiego. Nie nasiąkł gorącą wiarą Ignacego Loyoli, nasiąkł jezuickim barokiem. Cała prawie ówczesna inteligencja europejska była taka: przywiązana do tradycji kultury europejskiej i oderwana od jej podstaw, od gruntu wierzeń i norm chrześcijańskich. Co ciekawsze, zdająca sobie sprawę ze swojej roli i z przekorną dumą przybierająca nazwę Dekadentów, bez poczucia odpowiedzialności mówiąca o „Fin de siècle".

Maeterlinck był jednym z niewielu pisarzy tego stylu, którym dane było oglądać skutki beztroskiego rozkładania kultury. Na Jasnym brzegu przeżył hitleryzm, umarł w cieniu rzucanym przez bolszewizm. Już samo zestawienie tych słów: symbolizm, bolszewizm daje pojęcie jak szybko i jak daleko potoczyła się lawina przemian. Dekadencka elita Europy była przecież potężnym argumentem i utwierdzeniem dla grupy doktrynerów zebranych wokół Maksyma Gorkiego na Sycylii.

Jeszcze jedna ilustracja różnicy epok: Maeterlinck, człowiek wykształcony wszechstronnie i szeroko oczytany, studiował literaturę angielską ale nie odczuwał najmniejszej potrzeby mówienia po angielsku. Kiedy pojechał do Ameryki z cyklem odczytów w latach dwudziestych, okazało się, że mówi po angielsku w sposób zupełnie niezrozumiały i że trzeba jego odczyty tłumaczyć na miejscu.

Z wielkich pisarzy okresu symbolizmu dożył do naszych czasów, poza Maeterlinckiem, bodaj tylko Claudel. Sztuki Claudela są grane do dziś dnia w Paryżu i cieszą się wielkim powodzeniem. Słuchacz, mimo niewspółczesnego nieraz stylu artystycznego, znajduje wspólny język z autorem, czuje coś trwałego i potrzebnego w jego utworach. A przecież przed ćwierćwieczem któżby śmiał powiedzieć, że Claudel równy jest Maeterlinckowi. Tajemnica trwałości Claudela i nietrwałości Maeterlincka tkwi w ich stosunku do najgłębszej rzeczywistości. Claudel jest katolikiem.

Gdyby Maeterlinck umarł w roku 1913, byłby chowany jak król a wszystkie sceny świata cywilizowanego uczciłyby jego zgon wznowieniem owych „Le Trésor des Humbles", „Le Temple enseveli", „La Sagesse et la Destinèe", o których już zdążono zapomnieć. A tak, mój Boże, piszę o tym, że Maeterlinck umarł i zdaję sobie sprawę, że mówię o kimś nieznanym naszemu pokoleniu.

Wojciech Wasiutyński

wieku prowadziły zaciekłą walkę, tępiąc omal do skutku plemiona indyjskie.

Toteż nawet w tym rewolucyjnym, dzisiejszym Meksyku czci się pamięć wielkich vice-królów hiszpańskich, jak Mendoza, Revillagigedo, Bucarelli; czy wielkich misjonarzy z biskupem Vasco de Kuiroga na czele, ze świetlanymi postaciami takich Franciszkanów jak Pedro de Gante i Motolinia. Imionami ich nazywa się ulice miast i miasteczek, wydaje się piękne źródłowe monografie o błogosławionej, częścią bohaterskiej a zawsze pełnej miłości pracy dla tubylców. Archeologowie Stanów z entuzjazmem grzebią się w ruinach świątyń Azteków czy Mayów, piętnując „barbarzyństwo“ hiszpańskie ... Zapominają tylko o żywym Indiàninie, który dochował się jednak do dnia dzisiejszego i ma otwarte drogi do wejścia w gmach kultury współczesnej. Podejrzane są to więc entuzjazmy jak i podejrzana akcja różnych amerykańskich sekciarzy „nawracających“ na gwałt katolickich Meksykanów. Cel jest jeden: podważyć hiszpańską kulturę Meksyku i zniszczyć związany z nim katolicyzm.

Już ukochany przez nas Wilson, autor XIII paragrafu, zawodowy obrońca wolności, twierdził, że bez podważenia katolicyzmu w Meksyku nie można myśleć o inkorporowaniu go w granice Stanów...

Jak dotąd akcja ta nie cieszy się szczególnym powodzeniem. Z książek z przemówień, z ambon płyną raz po raz gorące i wdzięczne słowa o „Nuestra Madre Espana“...

HISPANIDAD

W związku z tym stoi ruch lat ostatnich, który ogarnia całą Amerykę Łacińską, ruch zwany „Hispanidad“. Rzeczpospolite łacińskie stojąc na gruncie osiągniętej niepodległości politycznej jako rezultatu procesu historycznego, — z drugiej strony zgłaszają swój żywy apel do kulturalnej wspólnoty hiszpańskiej, opartej na wierze, tradycji, języku, jako bastionu przed inwazją duchowej barbarii idącej z Ameryki Północnej. A i obecna Hiszpania usilnie się stara o zbliżenie do dawnych prowincji.

W Meksyku rząd gen. Franco nie jest respektowany. Z meksykańskiego azylu korzystają czerwoni rewolucjoniści, zasobni w złoto Hiszpanii, ze swoim rządem na czele. Natomiast Meksykanie całymi masami jeżdżą do Hiszpanii via Portugalia. Obecnie w charakterze gości bawiło w niej lub bawi cały szereg intelektualistów i artystów z artystką Marią Feliz i Gorge Negrete na czele. Artyści owi w roku ubiegłym w dzień święta niepodległości Meksyku nadawali audycję radiową z Madrytu...

A cały Meksyk śpiewa z zapałem najnowszą piosenkę na cześć Madrytu popularnego artysty **„Quando llegas a Madrid chulona mia“** (kiedy jedziesz do Madrytu miła moja), z refrenem: „Madrid, Madrid, Madrid“.

Często też na różnych uroczystościach poza sferami rewolucyjno-rządowymi pojawiają się purpurowo-złote sztandary narodowej Hiszpanii.

Może są to odpowiedzi na pojawiające się anonimowe napisy „Abajo Franco“?, (Precz z Franco!), które spotykamy na murach kamienic? A w każdym razie jest to wyraz głęboko tkwiącej sympatii dla „Nuestra Madre Espana“...

Przed paru dniami wróciłem ze skromnej uroczystości młodzieży akcji katolickiej parafii gdzie mieszkam. Młodzież kończyła tę uroczystość zwrotką swego hymnu:

Virgen, Virgen morena
Bajo tus plantas
Broto un rosal
Rosas son de Castilla,
Mas es de Anahuac
Su ser vital.
Al arrullo de tus miradas,
Cual luceros del Tepeyac,
Brota asi mi Patria
Fuerte y si igual;
FLOR HERMOSA DE HISPANIDAD.
En pie ... Valor ... Luchar...

Dziewico, ciemnolica Dziewico!
Spod Twoich stóp
Wytrysnął róży krzak.
Róże są kastylijskie,
Ale ich rdzeń i moc
Wzięta z Anahuąc.
Wykołysana Twoimi oczyma
Co świecą z nad Tepeyac
Wytryska równie Ojczyzna moja,
Piękny Hiszpanii kwiat,
A gruntem jego...
Męstwo i bój.

Seweryn Wojtecki

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

KAPLICA PRZYDROŻNA

Uwili Ci gniazdeczko ludzie wioskowi
Niby jaskółce, niby skowronkowi...
Wystrugali z desek sosny zaciszny kątek:
Miłą chatkę żywiczną pokrytą gontem.

Chcieli ludzie, by Ci dobrze było naprawdę:
Postawili figurkę Antoniego z Padwy,
A z drugiej strony pod wianuszkiem z ziela
Powiesili obrazek Jana Chrzciciela.

Więc sobie mieszkasz, Mario, przy tej polskiej drodze;
W Boże Ciało procesje do Ciebie przychodzą,
A gdy pachną młode zboża i łąki w maju,
Ludzie ze wsi przychodzą i litanię śpiewają.

Czasem drogą przechodzi wędrowiec z oddali
Zdejmie czapkę i westchnie i pójdzie dalej;
Czasem z pól wracający rolnik tu przyklęknie
Na trawie nie deptanej, puszystej, miękkiej.

Do świętego Antoniego ptaszki przylatują,
Nad kapliczką świergocą, kołują,
Lub na chwilę przysiądzie zając hyżonogi,
Nim go spłoszy turkot wozu od drogi.

Święty Jan wieczorami o zamieszchłej przeszłości
Opowiada, jak na puszczy błąkał się i pościł...
A puch nocy na kapliczkę miękko ciszą się sypie
A Dzieciątko w Twych ramionach zasypia, zasypia...

PAWEŁ JANECKI

PRZYKŁAD CZAJKOWSKIEGO

EMIGRACJA, każda emigracja, jest środowiskiem społecznym bardzo szczególnym i dziwacznym. Można doszukać się bez trudu podobieństw między zjawiskami zachodzącymi w dużych emigracjach politycznych różnych narodów i czasów. A cóż dopiero mówić o zjawiskach występujących w dwuch emigracjach tego samego narodu na przestrzeni stu lat, choćby w ciągu tego stulecia zaszły najgłębsze zmiany techniczne i społeczne.

Tak się złożyło, że dopiero teraz po raz pierwszy przeczytałem biografię Ludwiki Śniadeckiej pióra p. M. Czapskiej. Gdybym czytał ją przed wojną, napewno nie zwróciłoby mojej uwagi to, co w tej książce uderzyło mnie obecnie, a mianowicie dzieje życia męża czy kochanka Śniadeckiej, Czajkowskiego, słynnego Sadyka-Paszy, egzotycznego choć niezawsze pięknego kwiatu na niwie Wielkiej Emigracji. Dzieje Czajkowskiego, od misji patriotycznej w Konstantynopolu, poprzez tureckie dygnitarstwo do wejścia na służbę rosyjską, zakończone samobójstwem przez wszystkich pogardzonego ośmdziesięciokilkoletniego starca na rodzinnej Ukrainie, to dzieje dekadencji emigranta, który miał więcej zdolności niż charakteru.

Ten sam człowiek, ujęty w karby osiadłego społeczeństwa, poddany codziennej kontroli rodziny i sąsiadów, opinii ludzkiej, opartej na stałych stosunkach i stałych przyzwyczajeniach, spędziłby życie napewno mniej ciekawe, przypuszczalnie przeciętne wyładowując temperament w jakichś polowaniach, grze w karty, może udziale w jakiejś jednej kampanii wojennej, a zadawalając ambicję jakimś tytułem, prezesurą może posłowaniem. Ludzi, którzy umieją żyć etycznie bez kontroli stałego otoczenia, którzy miarę postępowania znajdują w sobie a nie w środowisku, jest niewielu. Nie należał do nich żywy, pobudliwy, zdolny a bezkrytyczny w stosunku do siebie Czajkowski.

Na jego życiu emigracyjnym jak na podręczniku uczyć się można patologii politycznej. W pierwszym okresie widzimy go w Paryżu jako jeszcze młodego emigranta, żonatego z Francuzką ale oddanego sprawie narodowej, wierzącego ślepo Adamowi Czartoryskiemu, którego uważa za przyszłego króla polskiego. Dzieci, choć urodzone i chowane we Francji z matki Francuzki, mają imiona polskie i wychowują się na Polaków. Wszystko to daje obraz przeciętny ale pozytywny. Gdyby Czajkowski pozostał w kraju byłby zapewne przeciętnym szlachcicem polskim z Ukrainy. Gdyby pozostał na resztę życia we Francji byłby do końca polskim emigrantem a dzieci zapewne by sfrancuziały. Los chciał inaczej. Powierzono mu w latach czterdziestych misję do Stambułu.

Pisano niejednokrotnie o tym, jak wypacza rola agenta wywiadu. Nie spotkałem się dotąd z rozważaniami na temat niebezpieczeństw psychicznych roli agenta politycznego. Nawet oficjalnemu dyplomacie grozi zawsze zmanierowanie. A przecież podlega on drobiazgowej kontroli władz, otoczony jest etykietą, ma bardzo określone miejsce w służbie państwowej i w społeczeństwie. Agent polityki emigracyjnej nie ma ani określonego stanowiska ani skutecznej nad sobą kontroli ani żadnej pragmatyki i etykiety. Jest niczym i wszystim. Misja jego zatrąca zawsze i o wywiad i o intrygę. Idealny związek z własnym środowiskiem narodowym krzyżuję się z codziennym związkiem interesów i przyjaźni w kraju pobytu. Nie ma pensji na pierwszego i nie spodziewa się odwołania do „centrali“ z dnia na dzień. W tych warunkach łatwo powstaje, w miarę upływu czasu, powikłanie lojalności nowych i starych. Przyjaciół ma się raczej wśród obcych, wśród swoich raczej rywali.

Na przykładzie Czajkowskiego widać w drugim okresie jego życia, w latach czterdziestych w Stambule, jak z agenta polskiego w Turcji przekształca się w orędownika sprawy polskiej wśród Turków, w przyjaciela Polski w Turcji, w tureckiego speca od sprawy polskiej, w agenta tureckiego wreszcie. Potężną rolę w tej ewolucji gra sprawa osobista, jakżesz charakterystyczna. Czajkowski zostawił we Francji żonę z czworgiem dzieci. W Turcji dostał się pod wpływ nieprzeciętnej indywidualności niemłodej ale władczej rodaczki. Francuska żona dobra jest w Paryżu dla emigracyjnego oficera, do niczego dla agenta politycznego w Turcji. Względami też na dobro misji tłumaczy Czajkowski Czartoryskiemu dlaczego ani wrócić nie może ani rodziny sprowadzić.

Etap trzeci następuje, kiedy na tle napięcia międzynarodowego chcą po latach, Czajkowskiego usunąć z Turcji. Rezygnuje on wówczas z roli szefa agencji polskiej, przyjmuje mahometanizm, dostaje pensję i folwark, żeni się ze Śniadecką. Jest przekonany, przynajmniej tak twierdzi, że robi to z pobudek patriotycznych, dla dobra akcji polskiej. Przez następnych lat kilkanaście jest wiernym poddanym sułtana a jednocześnie działa wciąż dla Polski. Tworzy i utrzymuje brygadę polską w armii tureckiej, szykuje się z nią do boju w czasie wojny krymskiej, ocala ją po wojnie, ma nadzieję użyć w czasie powstania styczniowego. W czasie powstania jednakże lojalność turecka niepostrzeżenie zwycięża nad polską i gdy Turcja zachowuje neutralność, Sadyk-Pasza nie robi nic wbrew woli Porty, nie idzie z Miłkowskim.

Ostatni etap jest najbardziej niespodziewany.

Po śmierci Śniadeckiej oddaje się na usługi ambasady rosyjskiej, potem korzysta z amnestii wraca na Ukrainę, przyjmuje prawosławie, otrzymuje folwark. żeni się z jakąś Greczynką, którą przywiózł z Turcji, wzywa innych do powrotu, głosi panslawizm pod wodzą Moskwy. Jak do tego doszło?

Trzema drogami, zdaje mi się trzeba śledzić przemiany Czajkowskiego. Pierwszą jest podkład agencyjności: kto był agentem przez dziesiątki lat, zmienił raz niepostrzeżenie lojalność, a teraz widzi, że jego rola turecka jest już bez przyszłości, ten będzie szukał nowej roli dla siebie jako agenta choćby sobie tego w pełni nie uświadamiał.

Drugi wątek, to obsesja rosyjska. Ludzie, którzy wychowali się w cieniu Rosji, często żyją w tej obsesji. Czajkowski, wychowany na Ukrainie, potomek hetmanów kozackich, marzył przede wszystkim o wyzwoleniu Ukrainy. Pozytywna strona jego patriotyzmu była nieprzemyślaną mieszaniną sentymentu do kozaczyzny i do dawnej Polski. Górowała nad nią całkowicie strona negatywna — nienawiść do Rosji. Nienawiść ma to do siebie, że wiąże równie silnie jak miłość. Rosja ma taką dziwną atrakcyjność na wywrót. Między współczesnymi Ukraińcami są tacy którzy nienawiść do Rosji posuwają do tego, że chcą jej odebrać całą Azję, że chcą by Ukraina przejęła rolę Rosji a Moskwa była pod kontrolą takiej Ukrainy od Oceanu do Oceanu, by była jej satelitą. Od takiej nienawiści do miłości Rosji jest krok jeden i to niewielki. A Dzierżyński: czy kochał Rosję czy jej nienawidził?

Czajkowski coraz intensywnej nienawidzi Rosji, coraz lepiej widzi jej wielkość, coraz bardziej jej się boi. I tu przychodzi wątek trzeci: gniew i rozczarowanie. Gniew i rozczarowanie do Francji i Anglii, pogarda dla zgniłego zachodu. Rosjanie są okrutni — powiada — ale nie tak fałszywi. Gdzieś te trzy nurty się zbierają, potęgują pustką po utracie towarzyszki życia i faktycznej kierowniczki: zostaje agentem rosyjskim, zrazu ideowym, potem repatriantem, wreszcie agitatorem.

I na zakończenie coś, co tylko przy polskim rodzaju uczuciowości jest możliwe: Czajkowski apostata, najpierw muzułmanin, potem prawosławny, popełnia samobójstwo trzymając w ręku obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, z którym się całe życie nie rozstawał.

Paweł Janecki

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

METODYŚCI, ŻYDZI I ANGLIKANIE JADĄ DO LOURDES

Mieszkańcy wsi Swillington koło Leeds zebrali 120 funtów, aby posłać z pielgrzymką do Lourdes **niekatoliczkę**, 18-letnią Barbarę Campbell, od urodzenia sparaliżowaną. Będzie się nią w drodze opiekować Miss Eileen Lynn, która była nieuleczalnie chora, lecz w zeszłym roku odzyskała zdrowie w Lourdes. W pielgrzymce wezmą udział nie tylko katolicy, lecz także anglikanie metodyści i Żydzi.

KLASZTOR BIAŁYCH I MURZYNÓW W KENTUCKY

Kościół katolicki przeciwstawia się panującemu w pewnych kołach amerykańskich rasizmowi, wyrażającemu się w nienawiści do Murzynów i w obdarzaniu ich pogardą. Jak wiadomo, istnieją nawet szkoły protestanckie w południowych stanach Ameryki, które twierdzą, że Murzyni nie są ludźmi i nie pochodzą od Adama i Ewy, lecz tylko od jakichś wcześniejszych, niż Adam, ras („pre-adamici").

Kościół katolicki aczkolwiek szanuje odrębności narodowe i nie sprzeciwia się także i pewnym antagonizmom narodowym, a więc nie potępiałby i przeciwieństw amerykańsko-murzyńskich, gdyby miały one zwykłą cechę walki dwóch narodów o swoje uprawnienia i stanowisko, o pewne terytoria i t.d., — nie może tolerować ustosunkowania się białych Amerykanów do Murzynów, mającego cechy rasistowskie. Kościół walczy z wszelkimi przejawami traktowania Murzynów amerykańskich, jako „niższej" rasy, a w szczególności ze stwarzaniem urzędowych przegród między Murzynami i białymi. (Jak wiadomo, niektóre sekty protestanckie mają nawet odrębne kościoły dla Murzynów i białych — i Murzynom jest do kościoła uprzywilejowanej rasy wstęp wzbroniony). Kościół katolicki rozwija ostatnio dużą akcję misyjną wśród Murzynów amerykańskich i czyni wśród nich duże podboje, jednając ich swym stanowiskiem praktycznego stosowania chrześcijańskiej równości.

Jednym z przejawów akcji mającej na celu niwelowanie różnic rasowych, jest założenie na południu, koło St. Dennis w stanie Kentucky, a więc w sercu kraju gdzie kwitnie nienawiść rasowa, klasztoru Benedyktynów, w którym mają ze sobą po bratersku współżyć biali i Murzyni i w którym z zasady ma ich być zawsze pół na pół. W klasztorze tym jest w tej chwili 4 zakonników, — 2 Murzynów i 2 białych

BRACIA JÓZEFICI OCHRZCILI 32 770 MURZYNÓW W CIĄGU 6 LAT

Zgromadzenie Ojców Józefitów w Stanach Zjednoczonych wyspecjalizowało się głównie w dziele nawracania Murzynów w południowych Stanach Ameryki. Do niedawna ludność murzyńska w Stanach Zjednoczonych licząca 14 milionów głów, składała się wyłącznie z protestantów lub z ludzi niechrzonych. Tylko w stanie Luizjana, który należał ongiś do Francji, było trochę Murzynów-katolików. Obecnie, Murzynów-katolików jest w Stanach Zjednoczonych 362 427, co już jest poważną liczbą. Z tego trzecia część należy do misyj prowadzonych przez Ojców Józefitów. W ciągu ostatnich 6 lat, ojcowie ci ochrzcili 32 770 Murzynów.

ORGANIZACJA AFRYKAŃSKIEGO LOVANIUM

Założony ostatnio uniwersytet Lovanium w Kongo Belgijskim, przeznaczony dla młodzieży murzyńkiej i będący filią czcigodnego katolickiego uniwersytetu w Lovanium (Louvain) w Belgii, najstarszego z uniwersytetów belgijskich, powstał z połączenia w jedną całość kilku instytutów, istniejących już od pewnego czasu.

Wydział lekarski, jako osobna szkoła lekarska, istnieje już około 20 lat. Nosił on nazwę FOMULAC, czyli „Fondation Medicale de l'Universite de Louvain au Congo" (zakład lekarski uniwerytetu lowanijskiego w Kongo). Nieco młodszy jest wydział rolniczy, CADULAC, „Centre Agronomique de l'U. de Louvain au Congo". (Centrum rolnicze U.L. w K.). W roku 1946 powstały zakłady: nauk przyrodniczych i handlowy. Te cztery uczelnie połączyły się teraz w jeden uniwersytet, w którym ma także powstać wydział literatury. Uniwersytetem zarządzać będzie Rada Administracyjna w Belgii, złożona z profesorów w Lowanium, oraz Rector Magnificus na miejscu. Profesorami są przeważnie Jezuici. Rząd belgijski udzielił nowemu uniwersytetowi formalnego uznania. Uniwersytet znajduje się w miejscowości Kisantu, niedaleko Leopoldville. Studia na tym uniwersytecie trwają od 4 do 6 lat, przyczem przed rozpoczęciem tych studiów rzeczą obowiązkową jest odbycie rocznego kursu wstępnego przy tym uniwersytecie. Uniwersytet ten przyczyni się niewątpliwie do powstania wykształconej elity narodowej murzyńskiej w Kongo i do nadania jej cechy katolickiej.

JEZUITOM W SZWAJCARII NIE WOLNO PRZEMAWIAĆ PRZEZ RADIO

W parlamencie związkowym szwajcarskim poruszono ostatnio sprawę, czy wolno jest Jezuitom w Szwajcarii przemawiać przez radio. Sprawa została rozstrzygnięt w tym sensie, że nie wolno. Wynika to z przepisu art. 51 konstytucji szwajcarskiej, zabraniającego Jezuitom wszelkiej działalności w Szwajcarii. Nie mogą oni zakładać w Szwajcarii klasztorów, mieć kazań, urządzać rekolekcyj publicznych i zamkniętych, zastępować proboszczów w działalności duszpasterskiej, przemawiać na publicznych zgromadzeniach. Około 50 klasztorów i innych zakładów jezuickich, jakie dawniej w Szwajcarii istniały, w XIX wieku zamknięto. Katolicy w Szwajcarii nieraz domagali się skasowania tych ograniczeń wolność Kościoła katolickiego — dziwne robiących wrażenie w zestawieniu ze swobodą uprawnień, jaką się cieszą komuniści, — ale jak dotąd bezskutecznie.

Nie wszyscy wiedzą, że Szwajcaria, uchodząca za klasyczny kraj wolności, wcale nie jest w swych dziejach pozbawiona pierwiastków nietolerancji i ucisku, i to właśnie zwróconych — przez protestancką większość—przeciw Kościołowi katolickiemu. Wystąpienia antykatolickie protestantów i „liberałów" (których liberalizm przejawił się np. w zamykaniu klasztorów i zakazywaniu Jezuitom działalności pedagogicznej, a nawet w zbrojnych zamachach na wolność kantonów katolickich), doprowadziły ongiś katolików szwajcarskich do tego, że broniąc swej wolności, zdecydowali się zerwać ze Szwajcarią. W grudniu 1845 roku siedem katolickich kantonów (Uri, Schwyz, Unterwalden, Lucerna, Zug, Fryburg i Wallis) zawarło między sobą formalne przymierze celem zbrojnej obrony swej kantonalnej odrębności i swych własnych praw. Kantony protestanckie uchwaliły na to — w roku 1847 — wypędzenie Jezuitów z całej Szwajcarii, a więc także i z kantonów katolickich, ograniczenie praw kantonów na rzecz Związku (przekształcenie Szwajcarii ze „związku państw" w „państwo związkowe"), oraz wystawienie stutysięcznej armii związkowej przeciwko kantonom katolickim. Te ostatnie — zorganizowane w nowy twór państwowy, t.zw. Sonderbund, — postanowiły się bronić. Wyniknęła stąd wojna domowa, która trwała kilka tygodni i w której opór kantonów katolickich został zbrojnie złamany. Z początkiem listopada 1847 roku kapitulowały Fryburg i Zug. Dnia 23 listopada generał związkowy Dufouz wyparł z umocnionych pozycji pod Lucernę armię Sonderbundu dowodzoną przez pułkownika Salis-Soglio i wkroczył do Lucerny. Na samym końcu skapitulowały kantony górskie Unterwalden i Wallis. W kantonach katolickich siłą wprowadzono rządy „liberalne". W roku 1848 uchwalono nową konstytucję, ograniczającą prawa kantonów i wprowadzające większą centralizację. Głosowało za tą konstytucją **15½ kantonów**, przeciw 6½ kantonom, lecz oporu tych ostatnich kantonów nie uwzględniono.

Dzisiaj wspomnienie tych dawnych przeciwieństw przygasło. Lecz pewne ograniczenia praw katolików w ustawodawstwie szwajcarskim dotąd trwają.

O NAWRÓT DO ŁACINY

Reformacja, temu 400 lat, uczyniła sobie jednym z haseł zerwanie z łaciną, jako jednoczącym językiem Kościoła katolickiego. Odtąd prąd wrogi łacinie przyjął się w świecie i posuwa się coraz dalej, wypierając łacinę z ostatnich pozycyj, jakie zajmuje w życiu umysłowym, a nawet z nauki szkolnej. Jeszcze w XVIII wieku każdy wykształceńszy Polak umiał płynnie mówić i pisać po łacinie; dzisiaj Polacy tacy są rzadkością, a nauka łaciny upada coraz niżej. Równocześnie zaś odczuwana jest w świecie coraz silniej potrzeba języka międzynarodowych stosunków — wskutek czego rodzą się języki sztuczne, w rodzaju esperanta, niezdatne jednak, właśnie przez swoją sztuczność, do spełnienia zadań umysłowych i naukowych na wyższym poziomie.

Katolicki tygodnik amerykański „The Register" pisze, że świat nie może się obejść bez nawrotu do łany. Przytacza on parę argumentów ze styczniowego numeru **Classical Journal.** W roku 1800 używano w Europie regularnie w druku 18 języków, zaś już w roku 1937 używano ich 53. Do roku 1920 człowiek wykształcony, chcący śledzić nauki humanistyczne, musiał znać 6 języków, wliczając w to łacinę i grekę. Dzisiaj, na dobrą sprawę, powinien ich znać 21. Świat może być uratowany od rozpadnięcia się na szufladki życia prowincjonalnego tylko przez skupienie się przy języku łacińskim, jako międzynarodowym. Jest to język martwy, a więc nie ulega zmianom, podczas gdy języki żywe przeciętnie co 40 lat się zmieniają, zarówno co do pisowni, jak i w użyciu ustnym. Łacina jest językiem **najbogatszym naukowo:** np. 600 000 roślin i istot zwierzęcych ma ścisłe określenia naukowe tylko w łacinie. Jest zarazem językiem najbardziej **precyzyjnym i giętkim.**

Takie poglądy wypowiadane są w Ameryce. Cóż na to my, starzy Europejczycy? I my, Polacy dla których **łacina była przez tyle wieków** drugim językiem narodowym rodząc na naszej ziemi historię Długosza, poezje Janicjusza, Szymonowicza i Sarbiewskiego, — albo Volumina Legum?

TERESA NEUMANN NIE ZGADZA SIĘ NA FILM

Słynna stygmatyczka, Teresa Neumann w Konnersveuth w Bawarii, o której piękną książkę napisał w swoim czasie ś.p. ks. J. Teodorowicz, lwowski arcybiskup ormiański, wciąż żyje i ma dopiero 51 lat. W Wielki Piątek bieżącego roku znowu pojawiły się jej w miejscach ran Chrystusa Pana obficie krwawiące stygmaty. W dalszym ciągu— wedle oświadczeń rodziny — zachowuje ona dawny post. — Amerykański przemysł filmowy zwrócił się do rodziny Teresy Neumann z propozycją nakręcenia filmu o Teresie, lecz rodzina jej odrzuciła tę propozycję z oburzeniem i gotowa jest użyć wszelkich środków prawnych celem przeszkodzenia zdjęciom, gdyby usiłowano dokonać ich wbrew woli Teresy.

ŻYDZI CHCĄ WYTĘPIĆ CHRZEŚCIJAŃSTWO W ZIEMI ŚWIĘTEJ

Agencja Fides w Rzymie, związana z papieską Kongregacją Propagandy Wiary, ogłosiła raport, który dnia 9 maja powtórzyło Radio Watykańkie, o dążeniach sjonistycznych w Palestynie. „Czy to pod wpływem 2000-letniego ducha zemsty, — czytamy w raporcie, — czy z motywów ateistycznych i materialistycznych, sjonizm... nie będzie tolerować żadnej formy Nauki Chrystusowej na Ziemi, skąd wzięła ona początek."

„Żydzi ortodoksi... chcą w pełni odnowić królestwo Dawida" i odbudować świątynię... Chociaż chrześcijanie byli świadomie zaślepieni i systematyczne wprowadzani w błąd, zmuszani są teraz wyciągnąć wniosek, że sjonizm jest nowym nazizmem i że pod jego panowaniem interesy chrześcijańskie są skazane na zagładę."

Raport podaje szereg faktów o unicestwieniu życia katolickiego w Państwie Izraela, o zniszczeniu katolickich instytucyj, o ucisku pozostałych jeszcze domów zakonnych przez sjonistyczny system policyjny o profanacji kościołów, krucyfiksów, tabernakulów, wreszcie o rzeziach w październiku i listopadzie, które pociągnęły za sobą około 500 ofiar i kończy się stwierdzeniem, że jedynym wyjściem, możliwym do przyjęcia dla chrześcijan, jest proponowane przez Stolicę Apostolską umiędzynarodowienie Jerozolimy i innych miejsc świętych.

NOTATKI Z NIEMIEC

„ROZMOWA ZE WSCHODEM"

Tak nazwał ewangelicki tygodnik *„Christ und Welt"* (10.3. rb.) dążenia ze strony ewangelickiej hierarchii w strefach zachodnich Niemiec do nawiązania łączności z prawosławiem. Dążenia te wynikają z zainteresowania prawosławiem z racji pobytu licznych prawosławnych, szczególnie w obozach DP, w Niemczech, jak też z sugestii konferencji ruchu ekumenicznego w Amsterdamie pod adresem niemieckiego protestantyzmu.

Kierownik zagranicznego wydziału Kościoła ewangelickiego w Niemczech pastor Martin Niemöller zorganizował w pierwszych dniach marca rb. konferencję około 40 niemieckich teologów, slawistów, historyków, historyków sztuki i bizantynistów w Heidelbergu. Głównym tematem obrad były referaty: o historii stosunków między protestantyzmem i prawosławiem oraz możliwościach nawiązania rozmów. Prof. Benz z Marburga przedstawił przegląd stosunków protestancko-prawosławnych od czasów reformacji do chwili obecnej, dr Rudolf Müller (Marburg) zobrazował poglądy prawosławia na protestantyzm w świecie literatury ostatnich stu lat, prof. Ernst Wolf (Göttinge) omówił wydawnictwo „Dokumentów Kościołów prawosławnych w sprawie ekumenicznej" (Moskiewska konferencja prawosławia z lipca 1948 r.), wydane obecnie w niemieckim tłumaczeniu, a Herald v. Rautenfeld w koreferacie na ten temat żądał m. in., aby „w czasie badań moskiewskich dokumentów rozróżniano wypowiedzi, które należy uważać jako polityczne koncesje na rzecz państwa od tych, które są prawdziwą treścią orędzi".

„Jeśli zjazd miał być próbą zbudowania mostu z Zachodu na Wschód — pisał *„Christ und Welt"* — można zapytać z uzasadnioną wątpliwością, czy wogóle istnieje możliwość zaczepienia mostu na tamtym brzegu w czasie, kiedy prawosławny Kościół Rosji sow. i częściowo też pozostałych krajów wschodnioeuropejskich pozostaje w zależności od politycznego centrum władzy bolszewizmu. Ale Kościół myśli długofalowo i prawosławie nie ogranicza się do sowieckiej strefy. W każdym razie zjazd dał silnego bodźca do badań prawosławia.

Drugi zjazd poświęcony zagadnieniom prawosławia, a zorganizowany przez Ewangelicką Akademię w Hesji, odbył się w końcu marca rb. w Echzell.

SEKCIARSTWO

Po zakończeniu wojny powstało w Niemczech około *930 różnych sekt*, które krzewią się we wszystkich strefach zachodnich, szczególnie zaś w Würtembergii — Badenii w strefie amer. Sekty te można podzielić z grubsza na trzy główne grupy. Pierwsza grupa starszych sekt uważa, że zna dokładnie termin ponownego przyjścia Chrystusa (adwentyści, świadkowie Jehowy). Grupa druga szczególną uwagę poświęca zagadnieniu chrztu, wreszcie trzecia odbywa praktyki, mające na celu nowe zesłanie Ducha św. Prasa niemiecka, przynosząca wiadomości o rozkwicie sekciarstwa, wyraża opinię, że jest to objaw kryzysu duchowego, ogarniającego naród niemiecki po wojne.

MAŁŻEŃSTWA „NA OKREŚLONY CZAS"

Nadmiar kobiet w Niemczech w stosunku do mężczyzn *(7 milionów nadwyżki!)* skłonił nauczycielkę z Kiel dr Dorothee Klage do wystąpienia z ekscentrycznym pomysłem reformy małżeństw. 52-letnia reformatorka rozróżnia małżeństwo jako „związek na całe życie dwojga ludzi różnej płci celem wzajemnego uzupełniania się i rozwoju osobowości" oraz rodzinę, która, jej zdaniem, składa się z matki i dzieci. Dr Klage uważa, że wszystkie kobiety, które nie mają widoków na zawarcie trwałego związku małżeńskiego, winny mieć prawo zawierania małżeństw na „określony czas", aby mieć możność posiadania dzieci. Reformatorka żąda w konsekwencji tego stanowiska, zniesienia panujących obecnie ustaw i obyczajów oraz zastąpienia rodziny (matka, ojciec, dzieci) rodziną, złożoną tylko z matki i dzieci, gdyż „dziś zadania mężczyzny leżą w całkiem innym zakresie aniżeli głowy rodziny". Dr Klage domaga się dalej „dla ratowania niemieckiej kultury" przyznania każdej kobiecie prawa zostania matką, jeśli tylko ma silną pozycje życiową i może zdobyć utrzymanie. Kobiety te winny jednak otrzymywać... zasiłki pieniężne ze strony państwa, uzyskiwane w drodze podatków, nałożonych na pracujących mężczyzn i bezdzietne kobiety.

Fantastyczny pomysł reformatorki, budzący wiele zastrzeżeń zarówno ze stanowiska religijnego, jak społecznego i państwowego, dyskutowany jest jednak zawzięcie, ponieważ dr Klage potrafiła nadać mu posmak sensacji. Dość jest w Niemczech pism i pisemek, roztrząsających zagadnienie małżeństwa „na określony czas", ale rozsądne głosy określają je jako *„niemiecką hańbę kulturalną 1949 r."* Słusznie!

ROZMOWA Z KOMUNISTAMI

W Kaiserslautern odbyła się konferencja protestantów z przedstawicielami sekretariatu partii komunistycznej Rheinland-Pfalz na temat: *„Kościół i dzisiejsze położenie polityczne"*. Był to niewątpliwy eksperyment ze strony protestantyzm i tak właśnie przyjęła konferencję opinia publiczna, choć nie są znane wyniki narad z komunistami. Z drugiej strony podkreśla się, że partia komunistyczna z całą pewnością uznała konferencję tylko za demonstrację. Protestanci mówią, że był to experimentum humanitatis: próba ludzkości, choć zdają sobie sprawę z nastroju protestanckich kół społeczeństwa niemieckiego w stosunku do komunistów. Były głosy, które wskazywały, że Kościół kat. „zajmuje wobec komunizmu jasną i jednoznaczną postawę, nawet wówczas, gdy komunizm wykazuje religijne zainteresowania". Protestantyzm może więc przez fakt rozmów z komunistami przedstawić się w „niepewnym świetle". Przypominano też, że „rozmowy komunistów z kościołem gdzieindziej w świecie odbywają się w wyraźnej formie, mianowicie w formie oskarżenia, śledztwa i wyroków skazujących". Mimo te zastrzeżenia, protestancki *„Christ und Welt"* uważał za potrzebne bronić organizatorów dyskusji z komunistami, powołując się, że przecież i oni są ludźmi. „Przecież nawet i wróg nie przestaje być człowiekiem".

Pismo nie obiecuje sobie wiele po tych rozmowach, chociaż nie zna ich wyników, gdyż obawia się, że w pewnym momencie komuniści mogą cynicznie powiedzieć: „Oczekujemy, że z okazanego zrozumienia dla komunizu wyciągniecie praktyczne wnioski i mamy dla was następujące zadania"... Wówczas experimenitum humanitatis przemieniłby się w experimentum fidei. „W rzeczywistości rozmowa w Kaiserslautern była tego rodzaju doświadczeniem". Rozmowa ta była też „cieniem straszliwego doświadczenia, jakie odbywa się codziennie na Wschodzie". A więc właściwie w jakim celu zorganizowano spotkanie, skoro sami protestańci mają świadomość możliwości jego wykorzystania przez komunizm? I dlaczego protestancki tygodnik broni stanowiska organizatorów, skoro nic nie wie o wynikach konferencji i raczej obawia się jej skutków?

ROCZNICE

80-lecie urodzin kard. Michaela Faulhabera (5 marca) z Monachium dało niemieckiej prasie okazję do obszernych i licznych artykułów, omawiających działalność tego czołowego przewódcy niemieckiej hierarchii katolickiej oraz jego postawy w okresie rządów hitleryzmu. Uważa się go za „kardynała oporu" przeciw władcom narodowo-socjalistycznym, przypominając głośne wystąpienia kaznodziejskie w kościele św. Michała w Monachium w r. 1933 w sprawie żydostwa, chrześcijaństwa i niemczyzny. Kazania te wymierzone były przeciw rasistowskim teoriom Rosenberga. Kard. Faulhaber znajdował się w czasie likwidacji rzekomego puczu Röhma w lipcu 1934 r. na liście tych, którzy mieli być zlikwidowani i uratował go tylko przypadek. Prasa przypomniała również incydent z Rosenbergiem, który publicznie odmówił kard. szacunku, otrzymując w rocznicę dwudziestolecia sakry biskupiej kard. Faulhabera z jego ust następująca odpowiedź: „Autor „Mitu" odmówił swego szacunku arcybiskupowi Monachium. Arcybiskup Monachium musiałby skryć się ze wstydu pod ziemię, gdyby z tej strony mu okazane poważanie".

Wspomienia o działalności i usługach kard. Faulhabera w okresie hitlerowskim zostały trochę przyćmione przypomnieniami prasy komunistycznej „(Südbayrische Volkszeitung"), która protestowała przeciw nadaniu mu godności honorowego obywatelestwa Monachium oraz wydrukowała wyjątki (fotokopie) z ulotki kardynała z r. 1934, zaprzeczającej wystąpieniom przeciw nienawiści wobec Żydów. Podano też do wiadomości różne szczegóły, które charakteryzują postawę niemieckiej hierarchii kościelnej w okresie hitleryzmu. Wiemy już przecie, że postawa ta nie była tak nieskazitelna, jak to opowiada się obecnie. Nawet wywybitni działacze katoliccy (np. dr. E. Kogon) krytykowali hierarchię stawiając jej zarzut, że obecnie miesza się zbyt silnie do zagadnień politycznych, gdy poprzednio, za czasów Hitlera, była dość uległa. Zagadnienie to niezmiernie ciekawe i zasługuje na pilniejszą uwagę, skoro mówi się obecnie, że niemieccy

„KSIĄŻKA O KOŁYMIE" -- WYSTARTOWAŁA

Zapowiedź wydania przez „VERITAS" „zeznania" Anatola KRAKOWECKIEGO p. t. „KSIĄŻKA O KOŁYMIE", ogłoszona w artykule Józefa Kisielewskiego w jednym z poprzednich numerów ŻYCIA, wywołała szeroki oddźwięk.

Pod adresem: „Veritas, Foundation Publication Centre — 12, Praed Mews — London W.2. — napływają prenumeraty na tę pierwszą w świecie książkę o kraju sowieckiego złota i sowieckich niewolników, pochłaniającym rok rocznie setki tysięcy ofiar.

Tak się jednak złożyło, że jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem przedpłaty na „KSIĄŻKĘ O KOŁYMIE" zgłosiło się, wpłacając należność w kwocie 6/6, kilku prenumeratorów. Zarazem Redakcja ŻYCIA otrzymała od p. Heleny Sikorskiej, wdowy po śp. generale Władysławie Sikorskim, list następującej treści:

„Szanowny Panie Redaktorze!

„Wiadomo mi, że „Książka o Kołymie" Anatola Krakowieckiego ma ukazać się nakładem kierowanego przez Pana wydawnictwa „Veritas". Wiem również, że na tę książkę ma być ogłoszona prenumerata.

„Proszę uprzejmie o wciągnięcie mnie na listę prenumeratorów i nadesłanie zawiadomienia w jaki sposób i kiedy mam wysłać prenumeratę

..Przy okazji pragnęła bym podkreślić, że los tej książki, której wydanie z powodów dość niezwykłych tak bardzo się opóźniło — interesował mnie i interesuje bardzo.

„Wydawało mi się, że właśnie książka, która wychodzi poza ramy przeżyć jednego narodu, a obejmuje wszystkie narodowości, poruszając nietkniętą jeszcze przez literaturę dziedzinę Kołymy, będącej wielotysięcznym grobem niewolników sowieckich — najlepiej przemówił do czytelnika.

„Mimo pewnego rodzaju znieczulenia, które wywołuje obfita literatura obozowa, opis Kołymy wstrząsa nawet zmęczoną okropnościami wyobraźnię.

„Łączę wyrazy poważania

Helena SIKORSKA

*

W ten sposób p. generałowa Sikorska otwiera listę prenumeratorów „Książki o Kołymie".

Należy zaznaczyć, że koszta wydania książki zostały skalkulowane możliwie najniżej. Prenumerator otrzyma pokaźny tom, zawierający około 230 do 250 stron formatu wielkiej czwórki, w czym 12 reprodukcji fotografii, dokumentów i mapek orientacyjnych. Cena 6/6 za tego rodzaju dzieło jest ceną rekordową jeżeli idzie o jej niskość, a więc książka stanie się dostępną dla każdego bez wyjątku budżetu uchodźczego.

Torujemy nowe drogi, aby ożywić zamarły ruch wydawniczy na emigracji. Tworzymy eksperyment, polegający na tym, że każdy prenumerator staje się na równi z „Veritasem" współwydawcą. Wydaje się nam że jest to w tej chwili — i pozostanie może na dłuższy czas — jedyny sposób, aby emigrant zaspokoić mógł za niewielką, popularną cenę swój głód czytania. Wspólnie z wielotysięczną rzeszą Czytelników naszych tygodników ŻYCIE i GAZETA NIEDZIELNA nie damy zamrzeć na emigracji — polskiemu drukowanemu słowu: polskiej książce.

Z oddźwięku, jaki wywołała nasza akcja, już po tygodniu sądzić jesteśmy w prawie, że inicjatywa spotkała się z pełnym zrozumieniem i że dzień zamknięcia prenumeraty tj. dzień 15 czerwca 1949 r. zapełni pozycje od 1 do 300 w liście prenumeratorów — w zupełności, po brzegi.

Niechże całej akcji przewodzi hasło:

„Nie wystarczy kupić — należy przeczytać; nie wystarczy przeczytać — należy kupić".

Albowiem nie względy „handlowe" rządzą naszą inicjatywą. Spieszymy na ratunek umierającej książce polskiej i czytelnictwu, cierpiącemu dotkliwy — głód.

ZNIEŚĆ GRANICĘ MIĘDZY WOLNYM CZYTELNIKIEM I WOLNĄ KSIĄŻKĄ

Drogi Redaktorze!

Piszę pod wrażeniem Pańskiego artykułu p. t. **„Kto wyda „Książkę o Kołymie"?** (ŻYCIE nr. 99).Jest on głęboko po chrześcijańsku, po europejsku ludzki w swojej części, proponującej wydanie pracy Anatola Krakowieckiego drogą powszechnej subskrybcji. Inicjatywa „VERITAS" wydaje mi się jak najbardziej trafna. Jestem pewny, że będzie celowa.

Przy sposobności pragnę podkreślić, że był na nią czas najwyższy — czas na to, aby społeczeństwo wzięło w swojej ręce losy książki polskiej na emigracji. To, co się dotąd dzieje urąga zdrowemu rozsądkowi i nie raz elementarnej przyzwoitości. Wtłacza się w wychodźstwo książki wydawane w kraju dla rozłożenia moralnej i intelektualnej odporności narodu, dławi się nieliczne wydawnictwa z trudem, z samowyrzeczeniem ogłaszane na obczyźnie, zamyka się w ten sposób możliwość wydawania dalszych książek, próbuje się pisarzom pozostałym poza krajem odebrać wiarę w sens istnienia i bodziec do dalszej pracy.

Ten brak skrupułów i niepohamowanie apetytów nazywa się „kryzysem książki". Nie ma takiego kryzysu, jak nie ma kryzysu teatru! Jest normalna bieda, nienormalna bierność i bezradność. Ale jeśli teatr przyjedzie, jeśli sztukę poprzedzi dobra sława, znajduje się publiczność: w W. Brytanii odbywa się miesięcznie około 150 przedstawień, żyje osiem zespołów, źle, ciężko, nędznie — ale żyje.

Jeśli się uczciwie sprzeda uczciwą książkę, jeśli kupującemu ją zapewni się świadomość, że nie jest przedmiotem jeszcze jednej spekulacji, ale uczestnikiem zbiorowego dzieła, jeśli temu wszystkiemu nada się sens społeczny, a nie czysto komercjalny—znajdzie się nabywca. Książka będzie żyła, ciężko, trudno, jak my wszyscy ale będzie żyła.

Wierzę głęboko że pomysł wydania książki Krakowieckiego przez czytelników nie chybi celu. Wierzę, że bez trudu osiągnie się cyfrę 300 zgłoszeń. Śmiem zuchwale twierdzić, że metą winna być nie cyfra 300, ale — 3.000. Gdyby się nam udało dosięgnąć tej granicy, mogłaby się ukazać **każda** książka — nawet t. zw. „trudna", nawet taka, która „źle idzie" — pisarze mogliby żyć i pracować. Można by znieść wreszcie granicę między wolnym czytelnikiem i wolną książką na obczyźnie.

Załączam sh. 6/6 jako subskrybcję na „Książkę o Kołymie".

Przesyłam przyjazne, oddane słowa i najlepsze życzenia w pracy.

Tymon Terlecki.

84, Hazlewell Rd.,
London, S.W. 15.

---

katolicy wykazali niezłomność wobec hitleryzmu. Jednostki napewno tak, całość, szczególnie wyższa hierarchia — napewno nie.

*

Przypomniano w prasie niemieckiej nader skromnie zresztą, inną też rocznicę, mianowicie 4-lecie śmierci kard. C. A. hr. von Galen, „lwa Münsteru". Postać jego była napewno wyjątkiem wśród niemieckich dostojników kościelnych. Bo też był on nieustraszony w wystąpieniach przeciw hitleryzmowi, a po kazaniach w lipcu i sierpniu 1941 r. Martin Bormann, prawa ręką Hitlera, zapisał w notatniku co nastepuje:

„Znane mi są różne mowy biskupa hr. v. Galen. Również Führer został w ogólnych zarysach poinformowany o postawie biskupa. Upoważnił mnie przeprowadzić najpierw dokładne badanie podniesionych przez biskupa zarzutów odnośnie zamknięcia klasztorów na rzecz NSDAP.

To stało się, jednak dotąd nie mogłem złożyć Führerowi sprawozdania. Ze strony gauleitera i ze strony Gestapo jestem bieżąco poinformowany o oddziaływaniu mów biskupa. Z pewnością byłaby wskazana kara śmierci, z uwagi na wypadki wojenne Führer napewno nie wyda tego zarządzenia". Notatka nosi datę 13.8.41.

Wystąpienia kardynała były istotnie niezwykle odważne. Mówiąc o terrorze policyjnym w Niemczech, o więzieniach, obozach koncentracyjnych, wyrokach skazujących i egzekucjach, kard. v. Galen wołał m. in.:

„I dlatego zabieram głos w imieniu narodu niemieckiego, w imieniu majestatu sprawiedliwości, w imieniu interesu pokoju i wewnętrznego frontu, dlatego wołam głośno jako Niemiec, jako honorowy obywatel państwa, jako przedstawiciel religji chrześcijańskiej i jako biskup katolicki. Żądam sprawiedliwoś-

*

Apostolski wizytator w Niemczech biskup dr Al Münch obchodził niedawno 60-lecie urodzin. Pochodzi on z rodziny amerykańsko-niemieckiej z Milwaukee, studiował na uniwersytecie w Freyburgu w Szwajcarii, był kapelanem studentów w Madison i profesorem seminarium w rodzinnym mieście. W r. 1935 Papież Pius XI mianował go biskupem biednej diecezji Fargo, liczącej zaledwie 130 tys. katolików i mającej ok. 100 drewnianych kościołów. Dzięki niezmordowanej pracy i działalności życie katolickie diecezji potoczyło się wartkim prądem. Po wojnie Ojciec św. powołał biskupa Müncha na stanowisko Apostolskiego Wizytatora w Niemczech. Spełniając rolę łącznika między niemiecką hierarchią kościelną a Watykanem, biskup Münch jest poza tym doradcą amerykańskiego zarządu wojskowego w sprawach kościelnych oraz zwierzchnikiem kat. duszpasterstwa armii amerykańskiej w Niemczech i Aurtrii. Siedziba bisk. Münch mieści się w Kronberg-Taunus, Hessen.

RUHRA SIĘ ZBROI

Warto zapamiętać sobie tempo wzrostu niemieckiego przemysłu węglowego i stalowego w zagłębiu Ruhry: ,

Węgiel: wydobycie w roku 1946 — 53.9 milj. ton, w roku 1947 — 71,1 milj. ton, w roku 1948 — 87,1 milj. ton.

Stal w roku	1946 — 2,4	milj.	ton.
„ „	1947 — 2,8	„	„
pierwsza połowa roku	1948 — 2,0	„	„
druga „ „	1948 — 3,4	„	„
cały rok	1948 — 5,4	„	„

NARASTAJĄCA KONKURENCJA

Tempo wzrostu produkcji niemieckiej od czasów reformy walutowej ilustruje wymownie statystyka wytwórczości samochodów niemieckich. W roku 1946 wyprodukowano wszystkich typów (osobowe ciężarowe, autobusy itd.) 25 tys., w roku 1947 — 25 tys. wpierwszej połowie 1948 r. — 20 tys. **w drugiej połowie 1948 r. — 43,8 tysięcy.**

Produkcja ta służy w pierwszym rzędzie na potrzeby wewnętrzne, w miarę wzrostu jej coraz wiekszą ilość przeznacza się na eksport. Małych samochodów t.zw. Volkswagen, które pojawiły się już także na ulicach Londynu, wyprodukowano w roku 1948 ponad 19 tysięcy., z czego 4,500 wyekspediowano. Plan na rok 1949 przewiduje miesięczny wywóz w ilości 1.000 wozów. Już dzisiaj — mimo kursu marka równa 30 centów — Volkswagen stanowią poważną konkurencję dla produkcji innych krajów zachodnio-europesjkich, także dla W.Brytanii. Niemieckie Volkswagen na ulicach Londynu uwidaczniają gospodarzom naszym bardziej jaskrawo niebiezpieczestwo odradzających się Niemiec i grożącą konkurencję handlową aniżeli wystąpienia nacjonalistów niemieckich i głosy przestrogi publicystów francuskich.

ECHA HITLERYZMU.

Wychodzący w Bremie „Weser Kurier" (24. 1) opublikował zestawienia statystyczne o przynależności do partii hitlerowskiej różnych warstw niemieckiego społeczeństwa. Dane pochodzą z poufnego opracowania partii z r. 1935. Tak więc robotnicy stanowili w Niemczech 46,3% ludności, a w partii stanowili 32,1%; urzędnicy — 12,4% — 20,6% samodzielni — 9,6% — 20,2 ; urzędnicy państwowi — 4,8% — 13 ; chłopi — 20,7 — 10,7%; inni — 3,4 . W świetle tych danych cyfrowych jasno występuje, że wszystkie warstwy niemieckie odpowiedzialne są za reżym hitlerowski.

* *

49 księży bez Kościołów. W należącym do zony sowieckiej, okręgu magdeburskim diecezji Paderborn (Niemcy) na ogólną liczbę 255 księży parafialnych, 49 nie posiada kościołów.

POSADY

WYKŁADOWCY NA UNIWERSYTETACH POZA ANGLIĄ

W najbliższych kilku latach zostanie obsadzonych wiele stanowisk profesorów i wykładowców w pięciu kolonialnych kolegiach uniwersyteckich w Afryce, na Półwyspie Malajskim i w Indiach Zachodnich.

Zainteresowani winni zwracać się o szczegółowe informacje do: The Inter-University Council for Higher Education in the Colonies, 8, Park Street, London ,W.1.

POSADY DLA LEKARZY I PRZYRODNIKÓW

a) Na Uniwersytecie Katolickim w Ottawie (Kanada), prowadzonym przez Księży Oblatów Marii Niepokalanej, poszukiwani wykładowcy fizjologii, psychiatrii, dermatologii, biochemii. Wynagrodzenie zależne od kwalifikacji kandydata. Np. wykładowca fizjologii otrzymuje początkowe wynagrodzenie 2500-3500 dolarów i na koszta przejazdu z W. Brytanii do Kanady 400 dolarów.

Ponadto są wolne miejsca dla internistów w szpitalu uniwersyteckim z wynagrodzeniem 75-100 dolarów miesięcznie, oraz mieszkanie i utrzymanie.

b) W katolickiej osadzie dla trędowatych w Niger i (około 1000 pacjentów) do obsadzenia stanowisko lekarza naczelnego z pensją £570-1000 rocznie, na koszta przejazdu z W. Brytanii £150-300. Zaangażowany obejmuje swe obowiązki na przeciąg 18 miesięcy, po czym przysługuje mu pełnopłatyny 6 mięsięczny urlop w Europie. Zwrot kosztów podróży na wypadek powrotu.

Zainteresowani zarówno pod a) jak i pod b) winni zwracać się o szczegółowe informacje do: the Newman International Centre, 31, Portman Square, London W.1.

WYKŁADOWCY W KATOLICKICH KOLEGIACH NA ZŁOTYM WYBRZEŻU

Do czterech kolegiów katolickich na Złotym Wybrzeżu w Zachodniej Afryce poszukiwani wykładowcy (mężczyźni) w zakresie Arts, Science i Agricultural Science. Kandydaci mogą być kawalerami lub żonatymi. Zaangażowani otrzymują wolny przejazd I klasą (także i dla żon), £750 rocznie i mieszkanie. Co 18 miesięcy urlop pełnopłatny do kraju rodzinnego. Konrakt podpisuje się na kilka lat np. pięć.

O informacje szczegółowe trzeba zwracać się do: the Newman International Centre, 31, Portman Square, London, W.1.

Komunikaty

POLSKIE STOWARZYSZENIE BYŁYCH SOWIECKICH WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

Dnia 29 kwietnia odbyło się pierwsze zebranie Rady Stowarzyszenia, wybranej na Zjeździe Organizacyjnym Stowarzyszenia, odbytym dnia 2 kwietnia br, Zebranie zagaił Prezes Rady gen. Wł. Anders. Po zagajeniu nastąpiło ukonstytuowanie się Rady, która wybrała zastępcą prezesa prof. Brzeskiego T. a sekretarzem p. Teodozję Lisiewicz. W dalszym ciągu posiedzenia omawiano, zgodnie z uchwałą Zjazdu, ostateczną redakcję statutu, którą po dyskusji ogólnej powierzono Zarządowi w porozumieniu z wybraną Komisją Rady. Następnie przedstawiciele Zarządu przedłożyli Radzie do zatwierdzenia program działalności, sprawozdanie finansowe i projekt budżetu Stowarzyszenia, co wszystko po dyskusji zostało przez Radę przyjęte. Zamykając obrady, przewodniczący zapowiedział, że następne posiedzenie odbędzie się w ciągu m. maja.

* *

Sekretariat Stowarzyszenia b. Sowieckich Więźniów Politycznych prócz soboty popołudniu i niedzieli w lokalu Stowarzyszenia, który mieści się w budynku Klubu „ORZEŁ BIAŁY" IV piętro, pokój 4, 2 Albert Gate, Knightsbridge, Londyn S.W. 1. jest czynny w godz. 11 - 12 i 18 - 19

TADEUSZ WITTLIN

SHAW BEZ BRODY

BERNARDA SHAW w żaden sposób nie mogłem sobie uzmysłowić jako młodzieńca bez brody. Jest to tym bardziej zastananawiające, że pisarz ten posiada przecież wyjątkowo młodzieńczą pasję i świetny dowcip, a jednak trudno go sobie wyobrazić bez patriarchalnej brody. Nie widziałem nigdy żadnego zdjęcia, gdzie autor „Genewy“ siedziałby na kolanach matki, piastunki, na rowerze lub w grupie kolegów, ani również w birecie i todze ze zwiniętym w rulon w dłoni dyplomem ukończenia szkoły, lub uniwersytetu. Tej ostatniej pamiątkowej podobizny nigdy zresztą nie uda się zobaczyć z tej prostej przyczyny, że Shaw żadnej szkoły nie skończył rozpoczynając zarobkową pracę biurową jako piętnastoletni chłopiec.

Ktoś powiedział, że Shaw urodził się już jako matuzalem, a w roku 1856, w którym przyszedł na świat, wynalazek fotografii był niemal równie w powijakach, jak autor „Pigmaliona“.

Liczne biografie Shawa, jak np. Pearsonsa i innych opisują go raczej jako literata już dojrzałego i choć kreślą życiorys, to jednak nie stwarzają obrazu, któryby pokazał Shawa jakim był on naprawdę, zanim wstąpił na trudną ścieżkę sztuki. Dopiero książką taką, która istotnie pod każdym względem odbrązowia Shawa jest wydana ostatnio jego autobiografia pod tytułem: „Szesnaście szkiców o mnie“.*)

Niemal na wstępie swej książki Shaw w szkicu zatytułowanym: „Przepraszam za tę książkę“, ze skromnością zupełnie z nim nie licującą uprzedza czytelnika, że życiorys autora bynajmniej nie jest ciekawy. Shaw wyznaje ze skruchą, że nikogo w życiu nie zamordował, ani nie okradł, jak również nie dokonał żadnego bohaterskiego czynu. Wszystko, co miał do powiedzenia, zamknął w swych utworach: książkach i sztukach, prywatne zaś jego życie, to życie codzienne składające się z mycia, ubierania, jedzenia i spania. Wkrótce jednak okaże się, że właśnie to codzienne, nieciekawe życie naświetli autora bardziej wszechstronnie niż nie jeden rozbiór analityczny, gdyż tłumaczy czytelnikowi dlaczego cała twórczość Shawa jest właśnie taka, a nie inna. Mówi się, że Shaw jako pisarz jest cynikiem. Jeśli to prawda, jest to cynizm oschły, kostyczny, cerebralny, mózgowy. Do stworzonych przez siebie postaci autor odnosi się raczej jak sędzia śledczy do podsądnych, lub biolog do doświadczalnych myszy, niźli do tworów swej literackiej fantazji, dowcip Shawa jest często równie bolesny jak celny, a monologi bohaterów niedarmo są dziełem pióra człowieka, który przez szereg lat był wiecowym mówcą. Oschłość Shawa jest jednak wynikiem nie tylko jego postawy intelektualnej, lecz może w większej jeszcze mierze została odziedziczona po matce, podobnie jak cyniczny dowcip jest spuścizną po ojcu.

Pisząc o swym wczesnym dzieciństwie, gdy wychowywał się sam, niemal na ulicy, jako że w domu panowała jak się wyraża „cygańska anarchia“, Shaw wspomina o swch rodzicach nie tylko bez sentymentu, lecz nawet bez zbytniego szacunku... Ojciec Shawa był to nałogowy pijak, z którym zerwała cała rodzina, matka zaś, która „nie umiała nikogo nienawidzieć, lecz też nie potrafiła nikogo kochać, prócz samej siebie“ i dziećmi zupełnie się nie zajmowała, miała aspiracje artystyczne, uwielbiała muzykę i uczyła się śpiewu pod kierunkiem profesora Lee, który w końcu zamieszkał w domu Shawów usuwając w cień gospodarza. Gdy jednak po pewnym czasie Lee wyjechał do Londynu, pani Shaw porzuciła męża i wraz z córką udała się za swym mistrzem. Na tej podstawie jeden z biografów Bernarda Shaw profesor O'Bolger wywnioskował, że matka Bernarda Shawa porzuciła męża zostając przyjaciółką swego nauczyciela śpiewu. Bernard Shaw czytając manuskrypt owej biografii, w liście z roku 1919 do autora nazwał pana O'Bolger „idiotą o bawolim łbie“, „nawpół zwariowanym od poprawiania studenckich zeszytów“ profesorem uniwersytetu i nie pozwolił na wydanie książki. Obecnie profesor O'Bolger zdążył umrzeć, manuskrypt jednak znajduje się w rękach wykonawcy testamentu, gdzie czeka na śmierć Shawa, by ukazać się jako: „Prawda o Bernardzie Shaw“. Jak widać istnieje pewna granica nawet dla Shawa; choć sam charakteryzuje swych rodziców z dużą dezynwolturą, umie jednak stanąć w obronie jakiś resztek ich czci, używając aż nadto dosadnych wyrazów.

Życiorys Shawa obfituje w mnóstwo anegdot, takich, jakie tylko autobiograf mógł podać. Niektóre pozwalają zrozumieć kształtowanie się usposobienia i charakter jego twórczości znacznie lepiej, niż niejedna rozprawa. W rozdziale zatytułowanym: „Kto jestem i co myślę“ Shaw pisze: „Gdy byłem dzieckiem mój ojciec poraz pierwszy zanurzył mnie w morzu w zatoce Kiliney. Ćwiczenie to poprzedził niezwykle poważnym wykładem o doniosłości nauki pływania, a przemowę swą zakończył takimi słowy:

— „Gdy byłem czternastoletnim chłopcem moja znajomość pływania była dostateczna, by uratować życie twemu wujowi Robertowi.“

„Widząc, że słowa te wywarły na mnie głębokie wrażenie, (pisze dalej Shaw) ojciec zatrzymał się i szepnął mi do ucha tonem zwierzenia:

— „I prawdę mówiąc, przez całe moje życie niczego później bardziej nie żałowałem.“

„Po tych słowach wskoczył do wody, a po kąpieli chichotał przez całą powrotną drogę do domu“. Nie ulega wątpliwości, konkluduje Shaw, że istnieje ścisły związek pomiędzy poczuciem humoru mego ojca, a sposobem wydobywania komizmu w moich sztukach.

Lecz nie tylko na twórczość Shawa makabryczny humor jego ojca wywarł swe piętno, lecz i na cały sposób myślenia wielkiego pisarza. Albowiem gdy już jako dorosły mężczyzna Bernard Shaw był na pogrzebie swej matki, której zwłoki miały być spalone w krematorium, powiedział do przyjaciela, że ma wrażenie, że matka stoi teraz za jego plecami i bawi się widokiem dwu mężczyzn ubranych jak kucharze, którzy wśród jej popiołów wygrzebują kawałki metalów. Shaw cieszył się wówczas, że mógł zrobić uwagę, iż osieroceni ludzie zazwyczaj potrzebują nieco wesołej rozrywki i dlatego pogrzeby, jego zdaniem, są tak bardzo zabawne. Książka Shawa ozdobiona wielu zdjęciami jego rodziny i przyjaciół zawiera również podobiznę autora, gdy jako duwdziestoletni młodzieniec zaledwie z zaczątkami brody przybył do Londynu porzucając Irlandię dla Anglii.

Shaw wyznaje, że był z natury nieśmiały, wstydliwy, obarczony kompleksem niższości, o głęboko zakorzenionym przeświadczeniu, iż wiadomości jego są o wiele mniejsze, niźli kogokolwiek innego i że niemal każdy jest od niego zdolniejszy. Shaw postanowił przełamać swą nieśmiałość przemawiając publicznie. Zabierał zaś głos wszędzie: na placach, w Hyde Parku, w salach odczytowych, na zebraniach lub wręcz na ulicach. Pisząc o tym Shaw wspomina, że jedno z jego najlepszych przemówień było wygłoszone w Hyde Parku w czasie ulewnego deszczu, gdy jako słuchaczy miał wtedy jedynie sześciu policjantów, wysłanych by go obserwowali jako niepewnego politycznie, oraz sekretarza organizacji, trzymającego parasol. Shaw przemową swoją starał się wówczas zafascynować owych policjantów w służbie, którzy musieli słuchać go z obowiązku, lecz wkrótce uznali, że mowca jest nieszkodliwy i przestali nań zwracać uwagę. Shaw jednak przemawiał przeszło godzinę, a przedstawiciele władz mokli na deszczu.

Nicując snobizm **swej rodziny**, Shaw sam bynajmniej nie może uskarżać się na brak tej cechy. Ażeby mieć swe popiersie dłuta Rodina, Shaw zapłacił tysiąc funtów i wyjechał do Paryża na miesiąc, jedynie w tym celu, by pozować rzeźbiarzowi. Poświęca również cały rozdział swym sprawom uczuciowym zamieszczając nawet zdjęcie jednej ze swych przyjaciółek. Wiele miejsca poświęca również autor polemice ze swymi biografami wykazując i prostując ich nieścisłości lub wręcz fałszywe o nim informacje.

Książka zatytułowana: Szesnaście szkiców zawiera ich siedemnaście. Ostatni, siedemnasty rozdział, jeden z najdłuższych, nosi tytuł: „Jak Frank Harris napisałby życiorys Bernarda Shaw“. Frank Harris, autor świetnej książki: „W pogoni za pełnią życia“ redaktor: „The Fortnightly Review“ był przyjacielem Shawa. Frank otrzymał kiedyś zamówienie od pewnego amerykańskiego wydawcy na napisanie życiorysu Shawa. Śmierć nie pozwoliła mu na wykonanie zamówienia, wobec czego uczynił to w swej książce Shaw.

Wielki Cycero szukał pisarza, który by gotów był napisać panegiryk na jego cześć. Jednak pomimo, że gotów był zapłacić każdą cenę, nie znalazł nikogo chętnego. Napisał więc sam. Czytając ostatni rozdział książki Shawa mimo woli nasuwa się porównanie z auto-panegirykiem wielkiego przeciwnika Katiliny. Shaw bowiem pisząc jak Frank powinien był o nim napisać, wystawił sobie pomnik nielichy.

Szesnaście osobistych szkiców napisanych zostało na przestrzeni kilkudziesięciu lat. W książce tej bowiem zebrał autor swe listy i felietony pisane zarówno w ubiegłym stuleciu, jak również napisane ostatnio, przed rokiem. Zdumiewające jest, że felietony wyszłe spod pióra przeszło dziewięćdziesięcioletniego starca skrzą się tym samym świeżym dowcipem, który cechuje utwory tego pisarza napisane przed pół wiekiem.

Tadeusz Wittlin

*) **Bernard Shaw: Sixteen Self Sketches.** Constable and Co., London 1949, str. 134.

ANDRZEJ HIEROWSKI

BAJKA O WIELKOLUDZIE

DAWNO, dawno temu, żyli na ziemi olbrzymi: byli ogromni, głupi i dobroduszni. Z czasem skarłowacieli i stali się bardzo czupurni, mieli bowiem nadzieję, że w ogólnej rozterce nikt nie będzie miał **czasu zauważyć, jak bardzo zmaleli.**

Ale nie wszyscy byli mali: od czasu do czasu jakiś wielkolud zaplątał się między karzełków, i, gdy widział ogólne zamieszanie, odchodził na bok rozmyślając, o co tym maleństwom właściwie chodzi.

Z czasem karzełki zaczęły zazdrościć olbrzymom ich wielkości. Próbowały więc też stać się dużymi. Bo ci olbrzymi wyglądali tak samo jak karzełkowie, tylko... byli dużo, dużo więksi. Więc jedni karzełkowie próbowali się nadmuchiwać, inni zakładali szczudła, inni zaś uprawiali skomplikowaną gimnastykę aby wyrosły im muskuły. A najleniwsi znaleźli rozwiązanie najprostsze: udowodnili czarno na białym, że wielkoludów nie ma i że wobec tego są zbędne wszystkie wysiłki, aby stać się większym.

Niestety, ta bajka nie ma narazie końca. Ale wiem napewno, że wielkoludy wciąż jeszcze istnieją. Wiem, bo nawet jednego widziałem. A o innym, który nie tak dawno, bo 15 lat temu umarł, chciałbym dziś opowiedzieć: nazywał się **Edward Elgar.** Urodził się mały, miał duży nos i z czasem wyhodował imponujące wąsy. I otóż ten Elgar chciał być muzykiem. Jego ojciec — organista w katolickim kościele — trochę go poduczył. Reszty dopracował się sam Edward. A potrafił uczyć się wszędzie i z wszystkiego. Za uskładane pieniądze pojechał na lekcje do Londynu, a do Lipska posłuchać niemieckiej muzyki. Grał często w lokalnych zespołach i prowadził orkiestrę w szpitalu dla wariatów. Niestety, ani orkiestra wariacka ani lokalny kwintet nie potrafiły grać utworów tak, jak były skomponowane i Elgar musiał przerabiać je stosownie do możliwości tych dwu ciał muzycznych. Stąd jego wielka znajomość techniki instrumentalnej. Pozatem miał możność wypróbowania swoich utworów na obu orkiestrach i na ich prostych słuchaczach.

Przez długi czas Elgar siedział na prowincji grając na organach w kościele, sprzedając nuty i instrumenty muzyczne. Okoliczne życie muzyczne było pełne Elgara: wszędzie grał, wszędzie dyrygował, wypróbowywał swoje nowe kompozycje. Ale Worcester pozostawał przez długi czas jego jedynym światem; dwa razy próbował Londynu, dwa razy Londyn go odrzucił. Wierny Worcester zawsze go przyjmował z powrotem z pompą, lokalne orkiestry amatorskie zawsze miały dla niego miejsce.

Dzięki doświadczeniu, jakie sobie mozolnie zdobywał i żonie, która w niego bardzo wierzyła, środkowa Anglia zaczęła zwracać uwagę na Elgara. Jego „Enigma Variations“ wywołały zanteresowanie. Niestety, było to tylko zainteresowanie. Nowy utwór już czterdziestoletniego Elgara, oparty na poemacie Kardynała Newman'a, „Dream of Gerontius“ (Sen Gerontiusa), został przyjęty chłodno w Birmingham.

Ale... Niemcy usłyszeli „Sen Gerontiusa“ i — przyklasnęli. To już było całkiem co innego: **zagranica** przyjęła Elgara, dała mu swoje błogosławieństwo. Więc i w Angli sięgnięto do poprzednich utworów Elgara i nagle odkryto wielkiego kompozytora. Krytycy zostali usunięci z drogi jak śmieszna zawada, (oni to często twierdzą, że wielkoludów nie ma...), reszta Anglii usłyszała pozostałe kompozycje: „Black Knight“, „Lux Christi“, „King Olaf“, „Caractacus“. Dyrygent orkiestry wariatów i „papista cuchnący kadzidłem“ został obsypany honorami. Dalsze utwory mógł już komponować w spokoju. I komponował dalej: „Apostles“, „Kingdom“, dwie symfonie i szereg innych utworów; — razem dwie kolumny w encyklopedii.

A teraz przyglądnijmy się karierze kompozytora Elgara od „do biegu gotowy, hop“ — aż do „stop“! W 1890 skomponował uwerturę „Froissart“ i parę osób mruknęło: „Czy wiecie, Elgar komponuje?“ (To tak, jak z Sienkiewiczem, gdy ogłosił „Na marne“: — Wiecie, ten niepozorny Sienkiewicz podobno coś napisał...) Po roku 1920 Elgar powiedział „Dość!“: — W 1889 ożenił się. W 1920 Lady Elgar umarła. — Czy te dane coś Ci mówią, Czytelniku? Masz rację, Elgar nie był „samowystarczalny“. Lady Elgar bowiem nie ograniczała się do liniowania mu papieru nutowego. Elgar był tylko człowiekiem, ale za to stuprocentowym człowiekiem: bez domieszki „zwierzaka“ albo skrzydlatych geniuszów. Zaczął w szpitalu dla wariatów, z ciemności wyszedł w późniejszym wieku niżeli inni kompozytorzy jego pokolenia, ale kiedy wreszcie wyszedł, inni zgłosili się na emeryturę. I to wszystko przy pomocy żony, z czym się nie krył, — przeciwnie; chwalił, i to tak, że go brano za sentymentalnego dudka. Ale dał odpowiedź, dlaczego kobiety nie osiągają tak wielkich rezultatów jak mężczyźni: **„Bo kobiety nie mają żon“...**

W Polsce z utworów Elgara właściwie dobrze znany jest tylko **„Salut d'Amour“** i może koncert wiolonczelowy. W Anglii już w 1904 odbywały się festiwale Elgara. W Anglii Elgar jest jedynym kompozytorem angielskim ogólnie uznawanym. Dlaczego?

Zaczął swoją karierę w Anglii w epoce wiktoriańskiej, pod względem muzycznym nie wiele różniącej się od epoki kamiennej: uznanie muzyczne ograniczało się do małej grupy zawodowców: nie było żadnego ośrodka wpływów: z małymi wyjątkami, i to ludzie którzy już wyciągali ręce do następnej epoki — muzyka ograniczała się do pitolenia na fortepianie przez wpółomdlałe panny, albo gorzej, do żałosnych balad, którymi wydzierały się Katy's lub Pamela's w rodzinnym gronie. Na dobitkę, ówczesne pokolenie uważało, że śpiewać potrafi każdy, kto jest w stanie otwierać usta.

Elgar należał właśnie do tej epoki mikroskopijnych karzełków i na nim ten okres się skończył. W nim Anglia znalazła kompozytora czysto angielskiego, którym mogła się chwalić mimo przesądu, że **angielska** wielkość muzyczna — to jest sprzeczność w samym założeniu. Dzięki niemu wiktoriańska epoka muzyczna umarła z honorem.

Od 30 maja do 15 czerwca będzie się odbywał w londyńskim Albert Hall'u Festiwal Elgara. (Bilety bardzo tanie). Najlepsze orkiestry, chóry i dyrygenci oddadzą jego dzieła: Warto posłuchać. Jego utwory są oryginalne, użycie orkiestry śmiałe i ładne, użycie instrumentów pierwszej klasy. Warto posłuchać. Chociażby tylko dlatego, aby poznać Anglika „starej daty“.

Andrzej Hierowski

Ż Y C I E, KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY
Wydawca:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
Adres redakcji i administracji:
POLISH WEEKLY „Ż Y C I E“ — 12, Praed Mews, London, W.2
Telefony: Redakcja i Administracja — AMB 6879. Drukarnia PAD 9734
Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.
Administracja czynna: od 14 do 17 codziennie od godz. 9 do 13 i z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/-
Wszelkie wpłaty: przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed“ i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings-Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press“
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.